ŁOWIEC POLSKI



51 ROK WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 7 (968) LIPIEC 1949 R. CENA 60 ZŁ

PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA SĄDU KONKURSOWEGO FOTOGRAFII MYŚLIWSKIEJ DLA ZAWODOWCÓW Z DNIA 3 CZERWCA 1949 R.

Do udziału w Konkursie zgłosiło się dwoje uczęstników, nadsyłając 33 zdjęcia. W skład Sądu Konkursowego weszło 9 członków Komitetu Redakcyjnego w osobach: J. Gieysztora, S. Krzywoszewskiego, Z. Kowalskiego, R. Kryspina, S. Rozwadowskiego, J. Skrzypka, A. Śliwińskiego, Z. Zabłockiego, i H. Zapolskiego-Downara.

Po zaznajomieniu się z dostarczonymi zdjęciami i po wymianie zdań, Sąd Konkursowy postanowił przyznać:

Nagrodę pierwszą w kwocie 20.000 zł — godłu „Filip";

nagrodę drugą w kwocie 12.000 zł — godłu „Czapla".

Po otwarciu kopert z godłami stwierdzono, że autorem zdjęć pod godłem „Filip" był kol. W. Puchalski z Krakowa, ul. Słowackiego 56, a zdjęć pod godłem „Czapla" — p. Izabela Puchalska z Krakowa, ul. Słowackiego 56. Małe obesłanie Konkursu przez fotografów zawodowych wykazało, że ogłoszenie o Konkursie, zamieszczone tylko w ŁOWCU POLSKIM, nie jest wystarczające. Postanowiono przeto w następstwie powiadamiać o organizowanych konkursach Polskie Towarzystwo Fotograficzne.

Przewodniczący Sądu Konkursowego

Prof. Józef Gieysztor

Przypomnienie dla Odbiorców Łowca Polskiego

Stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia P. Z. Ł. z dnia 24 kwietnia r. b. zapisy na członków Związku zostały przedłużone do końca roku, ale z zastrzeżeniem, że nowo przybywający członkowie otrzymają ŁOWCA POLSKIEGO *tylko od chwili zgłoszenia* z uwagi, że nakład ŁOWCA POLSKIEGO jest przystosowany do faktycznej w danym okresie ilości członków. Zwracamy uwagę na tę okoliczność i uprzedzamy, że bezcelowymi będą reklamacje o dostarczanie zeszytów wcześniejszych.

Toż samo dotyczy reklamacji o *niedostarczone zeszyty z miesięcy styczeń — kwiecień.* Wykazy adresów sporządzane były przez Rady Wojewódzkie. Jeżeli z powodu spóźnionego nadesłania ich do Administracji zabrakło już zeszytów z poprzednich miesięcy — to Administracja pisma nic tu zmienić nie może i uprzedza, że na takie reklamacje *odpowiadać nie będzie.* Z pretensjami o to zwracać się należy do Rad Wojewódzkich.

REDAKCJA

Nasza okładka: »Zacisze« — rys. L. Maciąg

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 7 (968) 1949 LIPIEC



„Na rzece" *fot. E. Woynicki*

J. J. KARPIŃSKI
kierownik Parku Narodowego w Białowieży

Puszcza zdradza swe tajemnice

Brniemy przez porośnięte olszyną bagniste łąki, by skrócić drogę do wrzynającego się w pola orne cypla puszczy. Poranne mgły włóczą się jeszcze nad rzeką, gdy na niebie, za naszymi plecami, ukazuje się powoli wielka, czerwona tarcza słońca. Obfita rosa pokrywa wysokie, sięgające wyżej kolan, trawy, śród których nie brak różnego zielska i kwiatów. Na delikatnie różowych baziach błotnego rdestu, na cytrynowożółtych kielichach kosaćsów jej krople połyskują w porannym słońcu matowo jak perły. Tam znowu, na strzelających wysoko do góry wiechach kremowobiałych kwiatów wiązówki, na buraczkowoczerwonych koszyczkach ostów, siedzą pogrążone we śnie motyle, zielone i miedziane złotawce. Komary zawodzą monotonnie, znad rzeki dolatuje wrzask derkacza, a w puszczy odzywa się pierwsza kukułka. Z daleka ukazała się na chwilę kształtna głowa kozła i znikła tak szybko, że ledwie zdążyliśmy rozpoznać kierunek jego ucieczki — po falującym ruchu traw.

Jesteśmy przemoczeni do pasa.

Gdzie łąka rzednie, bagno staje się bardziej grząskie. Rosną na nim kalie błotne o mlecznobiałych konchach, pałka wodna, trójlistny bobrek i żółte kaczyńce. Utykamy w grząskiej topieli na dobre. Chwilami zdaje się, że wyciągamy z trudem nogi z żelazistej rudawy po to tylko, by zapaść się w nią o krok dalej jeszcze głębiej.

Słońce zalewało swym blaskiem brzeg puszczy, gdy dobrnęliśmy wreszcie do skraju lasu. Zmęczeni, długo odpoczywaliśmy, opędzając się od bąków i wsłuchując w tętniące żywym rytmem i tchnące świeżością życie wiosennego poranka. Po niedospanej nocy i uciążliwej przeprawie przez bagno odczuwaliśmy dziwną ociężałość. Byliśmy upojeni powietrzem, roz-

leniwieni ciepłem słońca i odurzeni niezrównanym aromatem wilgotnej od rosy, jędrnej zieleni. Trzeba było jednak iść dalej.

Przy wstępie do puszczy powitały nas zaczajone w cieniu i chłodzie komary. Las był nieco podmokły: świerczyna z osiką, gdzieniegdzie dęby i olchy, pojedyncze graby, sporo brzozy omszonej. W runie widać było lekko nakrapiane, lancetowate liście plamistych storczyków, szerokie, jajowate liście listery, majownik, podagrycznik i pióropusze paproci. Przewodnik szedł przodem, zręcznie lawirując wśród pni świerków, najeżonych zdradliwie twardymi jak stal, ostrymi sękami. Omijaliśmy miejsca zbyt zacienione, szukając luk i przerzedzeń w drzewostanie. Kwitły tam konwalie, jaskry i spóźnione zawilce, — pierzaste łodygi kokoryczek uginały się pod ciężarem zwisających rzędami, kształtnych lampioników.

W jednym z uroczych zakątków cypla natykamy się niespodziewanie na cudo prawdziwe. Obuwiki... — i to cała kępa! *) Tuliły się jedne do drugich jak gdyby zawstydzone pysznością swego kwiecia, oryginalnością jego barw i kształtów. Jak rajskie ptaki, jak kolibry, zwisały na łodygach duże kwiaty pojedynczo lub po dwa, jeden nad drugim. Przy każdym podmuchu wiatru chyliły rozdwojone czuby, potrząsając nerwowo skręconymi spiralnie brunatnoczerwonymi ostrogami. Estetycznie zakrzywione żółte pantofelki silnie kontrastowały z czerwienią, a szmaragdowozielone przylistki podkreślały papuzie zestawienie barw całości. Czarowna, tajemnicza puszczańska orchidea. Cieszyliśmy się jak dzieci. Warto było brnąć po bagnie, warto było poświęcić poranny odpoczynek.

Obuwików było dużo. Odszukaliśmy jeszcze drugą i trzecią kępę.

Gdy po trudzie spoczęliśmy na miękkich poduszkach mchów, przestał dla nas istnieć cały świat. Istniała tylko puszcza i przecudne obuwiki.

* * *

Nad drogą, zarośniętą po brzegach maliniakiem, zwarły się gałęzie drzew, tworząc w górze szumiące sklepienie lasu.

Po obu jej stronach wznoszą się potężne kolumny puszczańskich lip i dębów, porozrzucanych to tu, to tam wśród morza różnokształtnych pni grabiny i pstrokatych pni klonów. Ponad sklepienie puszczy strzelają ku niebu stożki olbrzymich, puszczańskich świerków. Na liściach drzew i paproci wiszą mieniące się w słońcu kropelki wody — widomy ślad wczorajszej nawałnicy. Z gleby unosi się mgiełkowaty opar, przepojony zapachem grzybów i próchnicy.

Gorące promienie letniego słońca z trudem przedzierają się przez luki w sklepieniu. Ich złociste wiązki znaczą swą drogę powłóczystym welonem i malują na dnie lasu nieregularne, słoneczne plamy. Nad jedną z takich plam, na środku drogi, zatacza kręgi duży motyl z białymi przepaskami, na ciemnobrunatnych, prawie czarnych skrzydłach.

Puszczański duszek.

Zniżył lot, zatoczył majestatycznie jeszcze jeden krąg i usiadł. Wachlując od czasu do czasu szerokimi skrzydłami, chciwie spija rosę z wilgotnej ziemi, a spłoszony furkotem przelatującego ptaka unosi się w powietrze i zatacza coraz to nowe kręgi nad drogą.

*) storczyki z rodziny Orchidaceae

W głębi widać zwały połamanych i potrzaskanych drzew, a z morza zieleni wyłaniają się czarne, pionowe ściany potwornych wywrotów. Biedne powalone olbrzymy. Na ich gnijących pniach wyrosły liczne huby, ciemnozielony kobierzec mchów pookrywał ich grube cielska, a pierzaste paprocie rozsiadły się na skorupie ich, głęboko spękanej, kory. Sploty obnażonych korzeni olbrzymów wyglądają jak legendarne wężowiska. Wokoło tych martwych szczątków pyszni się zieleń, bujnie pleni się nowe życie.

Niespodzianie i szybko rozwarła się nad drogą zielona ściana maliniaku i coś dużego wyskoczyło z zarośli. Płowy, kusy zwierz z okrągłym pyskiem i szpiczastymi, sterczącymi do góry uszami, ostrożnie obejrzał się na prawo i lewo. Upewniwszy się o własnym bezpieczeństwie, kocim ruchem wygiął do góry grzbiet, otrząsł jedną łapę, potem drugą, przeciągnął się rozkosznie i pijanym truchcikiem pobiegł drogą. Nagle przypadł do ziemi, dał susa w bok i znikł za ścianą maliniaka po przeciwległej stronie drogi.

Nad głową umykającego chyłkiem rysia zaskrzeczała sójka.

* * *

Barwna jesień puszczańska.

Przymrozki tkają z opadających liści grabów suty, złotolity dywan, przetykany purpurą liści klonów i osiny. W promieniach rannego słońca srebrzą się oszronione siatki pajęcze, skry sypią zwisające z gałązek krople rosy. Gdzie słońce jeszcze nie dotarło, siwy szron okrywa trawy i badyle. Zionie stamtąd chłodem

Słychać jak odrywają się palczaste liście klonów z oświetlonych słońcem koron drzew i lecą w dół, ocierając się o konary i gałęzie.

Zeszliśmy z drogi na dukt, przerzynający bagniste ostępy olszowe szeroką linią od zachodu ku wschodowi. Rzeczka Jelanka mijała go kilkakrotnie, wijąc się falisto przez teren grząski a żyzny, porosły olchą i jesionem śród łanów żółkniejącej pokrzywy, wywrotów świerkowych, kłód i tramów, tworzących niedostępne spiętrzenia i zawały. Jej brzegi spowijały chmiel i psianka, porastały jarzębiny i kalina, kraśne pękami jagód, rumianozłote w blasku słońca i chłodzie. Czeremchy, porzeczki i trzmieliny tuliły się do pni nadbrzeżnych, zwisały nad rzeczółką, sypiąc złoty liść na jej żelaziste wody. Butwiejące złomy i kłody tamowały leniwy ich bieg, tworzyły zatory oraz głębsze „okna" o powierzchni gładkiej, odbijającej jak w zwierciadle sylwetki drzew, krzewów i zrudziałych kęp paproci. Czasami przeglądało się w nich słońce lub spadł zwarzony chłodem liść jesionu, którego dotyk mącił spokój. Nerwowe drgnięcie lustrzanej powierzchni rysowało wtedy na niej łagodnie falujące, szerokie koła.

Pastelowo-czarna wstęga tej malowniczej puszczańskiej rzeczółki, układała się w śmiały, esowato powyginany deseń, na tle ciemnej zieleni świerków, złota, czerwieni i brązu.

Gdyśmy mijali ostatnie jej zakręty, ukazała się przed nami na dukcie ciemna sylweta, za nią druga i trzecia. Przechodziły jelenie. Znieruchomieliśmy, obserwując z zapartym oddechem niezwykłe zjawisko. Silny był, o rozłożystych, grubych wieńcach, zatrzymał się. Zwolna, ruchem pełnym godności, odwrócił głowę w naszą stronę i wpatrywał się przenikliwie w zamarłe figury dwóch błędnych faunów, do których zapewne byliśmy w tej chwili podobni. Wyszło na dukt jeszcze kilka łań. Nie przeczuwając nic złego, snuły

się po koleinach i wybojach, ogryzając ścięte przymrozkiem bedłki i młode pędy malin.

Byk zwietrzył ludzki odór. Położył wieńce na grzbiet i skoczył w tę samą lukę, z której wyszedł na nasze spotkanie. Za nim, jak cienie, znikły przestraszone łanie.

ściany parkanu rezerwatu, potrząsając od czasu do czasu głową, by zrzucić ze zwisającej nad szerokim czołem jasnej grzywki mokre wypluwki, oblepiające mu kudły. Przy kępie leszczyn stało znudzone stado, złożone z krów, młodzieży i tegorocznych cieląt.

Nagle rozległo się w koronach drzew gwałtowne



...Kolumny puszczańskich lip... *fot. J. Karpiński*

cykanie starej wiewiórki. Zachłystując się z oburzenia, skakała z gałęzi na gałąź, strząsając na żubra rzęsisty deszcz kropel wody. Coś musiało się dziać za ogrodzeniem, gdyż tańczyła uporczywie na jednym miejscu, bijąc zapamiętale kitą na trwogę. Wkrótce zawtórował jej kowalik, podfrunęły sikory i zakotłowało się w okapie lasu.

Żubr posunął się kilka kroków naprzód w kierunku parkanu, wciągnął w płuca strugę wilgotnego powietrza i drgnął..., poczuł wyraźnie odór puszczańskiego rabusia.

Staliśmy jeszcze przez chwilę. Było cicho jak pierwej, tylko cytrynowożółte osiki przydrożne, szeptały tajemniczo o całym zdarzeniu.

* * *

Schyłek jesieni...

Był szary świt. Skłębione, zsiniałe od zimna obłoki pluły mokrym śniegiem.

Listopadowa szaruga dawała się dobrze we znaki żubrom. Byk prowodyr stał osowiały opodal mokrej

Jednym skokiem był przy ogrodzeniu, odsadził się: zachwiały się gwałtownie przęsła od uderzenia łbem w bale.

Wśród stada żubrów powstał popłoch. Młodzież stłoczyła się w gromadkę, żubrzyce otoczyły ją kołem i zafukały bojowo.

Zwabieni hałasem strażnicy wdrapywali się już na parkan, by ustalić przyczynę powstałego zamętu.

— Wilk!—krzyknął Smoktunowicz na widok ogromnego basiora, którego sylweta mignęła w pobliskich chaszczach. Podsunął się po górnej przekładzinie bliżej miejsca, gdzie stał żubr i zobaczył wcale pokaźną jamę pod parkanem. — Popatrz, Sawicki! podkopywał się kanalia pod bale!

Widok ludzi i ich głosy uspokoiły powoli żubry. Tylko wiewiórka cykała jeszcze, a wtórowały jej sikory.



...Opar przepojony zapachem grzybów... *fot. J. Karpiński*

— Trzeba zawiadomić urząd — zadecydowali strażnicy.

* * *

Na trzeci dzień został zabity ten sam basior z zasiadki przy nowym podkopie pod parkanem rezerwatu. Możecie go oglądać wypchanego w białowieskim Muzeum Puszczańskim.

* * *

Jaką bogatą treść zawiera dla miłośnika puszczy magiczne słowo „ponowa"! Świeżutki śnieg, bielszy od wszystkiego, co jest białe, okrył odświętną szatą nie tylko korony drzew, rumowiska zwałów i złomów, zarośla młodnika, zwarte chrusty, lecz także ziemię, ściółkę, wrzosy i jagodniki, zeschłe trawy i najnędzniejsze badyle. Rzekłbyś, przyroda odwróciła jedną z zapisanych już kart księgi bytu po to tylko, by w swej wspaniałomyślności uchylić przed tobą rąbek zasłony, jaka spowija jej tajemnice, dać ci możność uchwycić oczyma pyszny kompleks błysków i cieni tego, nie kończącego się nigdy filmu życia puszczy. Za dni kilka z owej białej karty nie pozostanie nic odświętnego i uroczystego. Zostanie ona zapisana po brzegi, będzie pokryta tajemniczą gmatwaniną znaków i godeł, stanie się trudną do odczytania i zrozumienia. Każdy podmuch wiatru, każdy dźwięk przebrzmiały, każde poruszenie się żyjącej istoty, stąpnięcie człowieka i zwierza, pozastawią na niej swe ślady. Zostanie postrzępiona i zmięta, zamazana i zbrukana — w końcu zostanie zużyta. Toteż każdy, komu na tym zależy, czyta z niej teraz pilnie, stara się wiernie odcyfrować i należycie pojąć treść chwili, by osiągnąć z niej jak najwięcej korzyści, jak najwięcej doświadczenia, tak potrzebnego w walce o swój byt.

Po białej wstędze puszczańskiej drogi posuwają się wolno sanki. Nawisłe pod ciężarem śniegu gałęzie drzew i wybujałe chrusty miejscami — czynią ją prawie niedostępną. Trzeba zsiadać z wygodnego siedzenia i otrząsać z nich białe puchy, koronki i festony, by śnieg nie prószył oczu, nie sypał się za kołnierze i derki. Okiść tłumi mowę, głuszy uderzenia kopyt końskich oraz miarowy skrzyp sań. Po obu stronach drogi widnieją na śniegu odciski racic, łap i kopytek czworonożnej zwierzyny puszczańskiej. Mówią one o ilości zwierza i o jego rodzaju, a nawet wieku i płci oraz kierunku, w jakim zmierzał przed chwilą.

Spłoszone nagłym pojawieniem się sań, sarny w zgrabnych susach oddalały się szybko od drogi. Stłoczyły się potem w gromadkę, stanęły i przyglądały z oddali przejeżdżającym.

Za zakrętem woźnica wstrzymał nagle konia. Podniósł się na siedzeniu i wskazywał batem na grupę starych dębów. Oczom naszym ukazał się niezwykły widok. Dwa rysie krzątały się gorączkowo koło niewielkiego wywrotu, starając się przeciągnąć na drugą jego stronę jakąś bezwładną szarą masę. Woźnica ostrożnie odwrócił głowę i szepnął:

— Mają zabitego kozła.

Tymczasem rysie zwlokły zdobycz z pnia wywrotu i odpoczywały. Jeden z nich przysiadł na zadzie obok nieszczęsnej ofiary, drugi zlizywał łapczywie ociekającą z jej szyi posokę.

Po chwili praca zawrzała na nowo. Wzięły kozła pomiędzy siebie, chwyciły zębami za uszy i wlokły uporczywie w kierunku od drogi. Zabiły go widocznie tuż przy niej i chciały odwlec w zaciszny grabiniak, osłaniający nieduża kotlinę po przeciwległej stronie

drogi. Widok maszerujących zgodnie, miarowym krokiem rysi oraz sunącej bezszelestnie po śniegu bezwładnej tuszy kozła, sprawiały niesamowite wrażenie. Co jakiś czas odpoczywały, znowu chwytały za uszy i wlokły dalej. Były tak zajęte wykonywaną pracą, że nie zauważyły obserwujących ich ludzi, konia i sań. Dopiero przypadek zrządził, że spostrzegły niebezpieczeństwo. Koń zastrzygł uszami, chrapnął i poderwał sanki w bok. Rysie rzuciły kozła i stanęły jak wryte. Ich osłupienie trwało zaledwie ułamek sekundy. Kilka potężnych susów i były daleko od drogi. Nim znikły z pola widzenia, zatrzymały się, zwróciły głowy w kierunku sań i dłuższą chwilę trwały w zadumie. Może żal im było tak nagle porzucać upolowanej zdobyczy.

Ofiarą był młody koziołek, z pięknie rozwiniętymi parostkami, całkowicie okrytymi miękkim, mszystym scypułem. Wielka, krwawiąca rana na szyi świadczyła o sile kłów i pazurów puszczańskich kotów. Ciało zachowywało dotąd pełną elastyczność, było ciepłe i tchnące jeszcze życiem. Nie dopełniło ono swego przeznaczenia — dać krew z krwi i kość z kości obcemu plemieniu.

Za ten kaprys losu zapewne dziś jeszcze zgaśnie w kniei nowe życie innego koziołka.

* * *

Przedwiośnie...

Po przewlekłej zimie wybuchła wiosna. Zasypała bielą zawilców, szafirem przylaszczek i szmaragdem młodej zieleni bory i lasy. Puszcza pyszni się swym strojem godowym, przymila uśmiechem słońca, rozbrzmiewa chórami upajającej pieśni ptaków, taneczną muzyką brzęku owadów. Wszystko mówi i każe myśleć o życiu, a jeżeli nawet czai się gdzieś śmierć, to wobec potęgi życia jest ona nic nie znaczącym epizodem z nieprawdziwego zdarzenia.

Operlone poranną rosą niebieszczą się łany niezapominajek na olchowych, puszczańskich mokradłach. Po promieniu słońca, który wdarł się przez okap drzew na dno lasu, to wznosi się do góry, to opada rój roztańczonych owadów. Przyroda obchodzi znowu święto wiosny i święto lasu. Celebruje słońce, ptaki prowadzą chóry, a kwiaty rozpostarły kobierce. Drzewa są skupionym, falującym tłumem.

J. J. Karpiński.

WITOLD PLAPIS, Dyr. nacz. B.O.S

Łowiectwo, a planowanie i realizacja zalesień w »Warszawskim Zespole Miejskim«

Łowiectwo — w zakresie gospodarczym, sportowym i przyrodniczym swego działania — jest organicznie związane z terenem. Kameralne uprawianie łowiectwa jest niemożliwe. Dlatego teren z jego pełną charakterystyką fizjologiczną, klimatyczną i biologiczną, jest dla łowiectwa czynnikiem podstawowym.

Oprócz cech przyrodzonych terenu ważną rolę odgrywa gospodarka ludzka i skutki tej gospodarki, powodujące niekiedy powstawanie zmian, nawet zasadniczych, w zakresie rzeźby terenu, szaty roślinnej i klimatu, a co za tym idzie i świata zwierzęcego. Pod wpływem agresji gospodarczej lub niszczycielskiej człowieka w najnowszych już dziesiątkach lat, wielkie obszary przemieniły się z leśnych w rolne, stepowe, lub pustynne, powodując odpowiednią zmianę fauny.

Jest rzeczą charakterystyczną, że społeczeństwo ludzkie w swych działaniach gospodarczych, dyktowanych jednostronną pobudką doraźnych korzyści, pozostawiło w wielu punktach kuli ziemskiej kamienistą lub piaszczystą pustynię, z której wyłaniają się materialne resztki cywilizacji ludzkiej w postaci zasypanych przez piasek ruin. Zniszczone zespoły natury spowodowały wygaśnięcie podstaw dla życia zespołów ludzkich.

Są to przykłady najbardziej dramatyczne. Jeżeli jednak przypomnimy sobie wypadki, w których częściowa tylko ingerencja człowieka w biocenozę flory i fauny, na przykład wskutek zaprowadzenia jednorodnej gospodarki leśnych zespołów sosnowych, przez odebranie siedliska rozwojowego pewnemu błonkoskrzydłemu wrogowi sówki-chojnówki, spowodowała zniszczenie przez sówkę setek tysięcy hektarów lasu — zobaczymy, że tylko najbardziej dogłębne badania przyrodnicze oraz sprawiedliwe, rozumne potraktowanie naturalnych praw zespołów roślinnych i zwierzęcych w stosunku do potrzeb zespołu ludzkiego, pozwoli na planowe wytworzenie biocenozy, obejmującej wszystkie trzy światy: ludzki, zwierzęcy i roślinny, a właściwie **jeden wielki świat Przyrody.**

Tylko w takim wypadku najbardziej nawet liczny zespół ludzki będzie mógł współżyć z przyrodą i korzystać w sposób ciągły z dóbr, które mu ona daje.

A dobra to niemałe. Obok drewna do celów gospodarczych i całego wachlarza współczesnych potrzeb przemysłowych, las dostarcza bogatych użytków ubocznych: zwierzyny, futer, jagód, grzybów i ziół. Najważniejsze jednak z punktu widzenia urbanistycznego są



Krajobraz pustynny koło Miłosny *fot. Z. Karpiński*

użytki pośrednie, polegające na oddziaływaniu masywów lub pasów leśnych na równoważenie ciepłoty, utrzymanie wilgotności, wytwarzanie dużej ilości tlenu oraz dostarczanie powietrza czystego, bez drobnoustrojów, a wreszcie na przeciwdziałaniu uciążliwym wiatrom. Jednym słowem — na oddziaływaniu na klimat. W końcu las, ze swą organizacją współżycia wielu rodzajów osobników i zespołów roślinnych i zwierzęcych, jest podstawą i źródłem badań naukowych, wrażeń psychicznych i estetycznych, i doskonałym terenem wypoczynku i leczenia.



Utrwalanie wydm pod Warszawą *fot. Z. Karpiński*

Dlatego współczesna urbanistyka, pamiętając o losie starożytnych kultur i ich metropolii, pochłoniętych przez pustynie, uznaje, obok innych czynników urbanistycznych, czynnik przyrody za podstawowy. Dlatego i urbanistyka warszawska w sposób najszerszy wytycza współżycie mieszkańca stolicy z przyrodą przez planowane wprowadzenie zieleni do środka miasta i — co ważniejsze — przez planowe zespolenie ze stolicą terenów, otaczających Warszawę, a ciążących funkcjonalnie ku niej. Stąd powstał w planach i w realizacji „Warszawski Zespół Miejski" (skrót WZM), obejmujący w przybliżeniu teren warszawskiego powiatu. Stąd również pochodzi dogłębne zainteresowanie urbanistyki „terenami zielonymi" oraz początek planowania i realizacji zalesień w Warszawskim Zespole Miejskim.

Historia lesistości Warszawskiego Zespołu Miejskiego jest podobna do historii zaplecza tych wielkich miast, których wzrost, nie oparty na zrozumieniu roli przyrody jako czynnika urbanistycznego, spowodował okaleczenie lub zagładę przyrody, stawiając tym samym przyszły los i możliwość istnienia zespołów miejskich pod znakiem zapytania.

Porównanie map lesistości powiatu warszawskiego z połowy wieków XVII, XVIII, XIX i XX obrazuje cofanie się lasów, początkowo pod wpływem gospodarki ludzkiej, a później, zwłaszcza w XIX i XX w., pod wpływem ekspansji rabunkowej i zniszczeń wojennych. Ten proces doprowadził do stanu zalesienia tylko circa 12% powierzchni powiatu w roku 1945, w porównaniu do circa 16% w r. 1931, około 19% na początku stulecia i 50% około 1863 r. Wystarczy dziś obejrzeć okolice podwarszawskie nawet niezbyt uważnie, by stwierdzić, że krajobraz stał się w znacznej części pustynny, przy czym pustynia zaczęła ofensywę przeciw kulturze ludzkiej. Uruchomione wydmy zasypują drzewa do wierzchołka korony..., pola uprawne, domy, drogi i lotniska (koło Miłosny). Stan taki stał się nie tylko nieznośny ze względu na pozbawienie Warszawy zieleni, ale i niebezpieczny z przyczyn gospodarczych. Dlatego odbudowa i przebudowa Warszawy wymaga niezwłocznego przystąpienia do zalesień wszystkich terenów, których naturalnym i jedynie gospodarczo i urbanistycznie uzasadnionym użytkownikiem jest las.

Położone na terenie powiatu warszawskiego lasy państwowe prowadzą stałą, planową gospodarkę, zalesiając rocznie około 2.000 hektarów swoich terenów. Tereny samorządowe i prywatne, a te otaczają Warszawę bezpośrednio, objęto konkretną akcją dopiero w sezonie 1948/49, w którym zalesiono około 300 ha i przygotowano około 2.000 arów szkółek dla potrzeb dalszych zalesień WZM. Równocześnie rozpoczęto planowanie całości zalesień i zadrzewień, które obejmie łącznie 22.000 ha, doprowadzając lesistość powiatu do 30% jego powierzchni.

Plan generalny zalesień i zadrzewień WZM przewiduje odbudowę i rozbudowę dużych masywów leśnych, jakimi są Puszcza Kampinoska i Lasy Nieporęckie z północnego zachodu, Lasy Chojnowskie z południowego wschodu oraz lasy tzw. pasa otwockiego od wschodu. Oprócz tego planowane są pasy zadrzewień i zalesień wzdłuż Wisły, Bugu i ich dopływów oraz zadrzewienia dróg, które, zwłaszcza od zachodu, spełnią rolę pasów ochronnych przeciwwietrznych. Przez organizm miasta przejdą zadrzewienia dwoma pasami. Jeden połączy Puszczę Sierakowską poprzez nieużytki z Lasem Młocińskim, Bielańskim i terenami Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego i przejdzie Powiślem i Skarpą aż do południowych kompleksów Natolina, Kabat i Lasów Chojnowskich, drugi usytuowany zostanie wzdłuż pasa ulicy Żelaznej (patrz na załączoną mapkę).

Cały opisany system masywów i pasów leśnych będzie w pierwszym rzędzie czynnikiem klimatycznym Warszawskiego Zespołu Miejskiego. Niezależnie od tego, wytyczne zagospodarowania przestrzennego przewidują dla poszczególnych partii leśnych funkcje specjalne. Pas otwocki — to rejon lecznictwa, profilaktyki, wypoczynku i mieszkalnictwa. Masywy Nieporętu, Chojnowa i pasy zadrzewień nadrzecznych Wisły i Bugu służyć będą wczasom, sportowi i turystyce. Wreszcie masyw największy Puszczy Kampinoskiej stanie



Zalesienie sosną terenów między Zielonką a Miłosną
fot. Z. Karpiński



się, zgodnie z wytycznymi urbanistyki, parkiem narodowym, zawierającym w utworzonych rezerwatach pierwotne zespoły fizjograficzne i przyrodnicze.

Tak pomyślany system leśny, posiadający rozmaite funkcje powiązane organicznie w całość, podporządkowaną systemowi urbanistycznemu Warszawy, powinien być oparty na mocnych, naukowych podstawach przyrodniczych, by mógł się znaleźć w stanie trwałej równowagi. Stąd konieczność planowego budowania biocenozy, obejmującej w ramach lasu florę i faunę,

z przewidzianym, koniecznym miejscem dla człowieka. Należy przypuszczać, że na terenach, nie ulegających nadmiernej inwazji człowieka, natura sama wytworzy równowagę biologiczną pomiędzy poszczególnymi gromadami jej przedstawicieli (np. Lasy Chojnowskie i Nieporęckie). Natomiast tereny, stykające się bezpośrednio z człowiekiem (pas otwocki), będą musiały być specjalnie troskliwie i przewidująco zagospodarowane ze względu na ich ochronę. W każdym wypadku budowa świata roślinnego i zwierzęcego powinna się odbywać pod kątem trwałości ich współżycia i zrozumienia ich roli dla Warszawskiego Zespołu Miejskiego.

Opisany wyżej planowany system leśny WZM stanowić będzie z punktu widzenia łowieckiego teren o specjalnej charakterystyce. W końcowym etapie realizacji system ten, wpisany w koło o średnicy 30 km, składać się będzie z kilku masywów leśnych i pasów, przedzielonych polami uprawnymi w dużym procencie na glebach słabych. Całość, gęsto pokryta arteriami komunikacji kołowej i szynowej, zbiegającymi się koncentrycznie do dzielnic centralnych, zajmujących pośrodku WZM przestrzeń o średnicy około 10 km, będzie przecięta przez środek wstęgą Wisły. Jeżeli uwzględnimy, że pozostałą powierzchnię zespołu pokrywa gęsta sieć miasteczek, osiedli i zakładów przemysłowych, które w pewnych rejonach łączą się w nieprzerwany prawie pas zabudowy, oraz że przybliżona liczba ludności WZM wyniesie około 2 milionów mieszkańców — stanie się jasne, że przyszłość łowiectwa w powiecie warszawskim uzależniona jest od najdalej idącego zracjonalizowania gospodarki łowieckiej, a zwłaszcza hodowli i ochrony. Oprócz zabezpieczenia celów łowieckich racjonalna gospodarka, przystosowana do podziału terenów, zgodnie z planami przestrzennymi WZM, przyczyni się również przez odbudowę fauny w oparciu o naturalne remizy zalesienia, do odtworzenia całokształtu równowagi biologicznej w WZM i do zbliżenia mieszkańców stolicy do przyrody. Jest to zadanie przyrodnicze (nie myśliwskie), stojące przed światem łowieckim w stosunku do Warszawy.

Jednak w niektórych punktach powiatu wyłoni się konieczność zastosowania całkowitej prohibicji myśliwskiej, włącznie do likwidacji istniejących dotychczas terenów łowieckich. Takim miejscem, w pierwszym rzędzie, jest Puszcza Kampinoska, która zagospodarowana i chroniona jako park narodowy, może znaleźć się pod wydatną opieką łowiectwa, z całkowitym wyłączeniem na zawsze myśliwstwa. Ten teren daje wspaniałe pole do pracy **przyrodniczo-hodowlanej i do rekonstrukcji fauny,** z której żubry i tury wyginęły w XV i XVI w., zaś łoś, jeleń, niedźwiedź i wilk na przełomie wieku XVIII i XIX.

Ten wielki rezerwat, położony tuż obok stolicy i połączony z nią szybką komunikacją miejską, powinien stać się terenem zbliżenia stołecznego świata pracy do przyrody i dać mu te korzyści i przeżycia, do których człowiek samorzutnie dąży w zrozumieniu konieczności regeneracji sił fizycznych i psychicznych.

Powyższy przykład zamierzeń przestrzennych świadczy, że w oparciu o ustawę o planowaniu przestrzennym, ustawę o ochronie przyrody i o nową ustawę łowiecką, nastąpić może wspaniała odbudowa przyrody Warszawskiego Zespołu Miejskiego dla upowszechnienia zagadnień przyrodniczych, do użytku stolicy i całego kraju

LITERATURA:

1. **St. Wyrwiński:** Znaczenie lasu w życiu człowieka. Wydał „Czytelnik", 1948 r.
2. **Rektor Kulczyński:** Przemówienie sejmowe w sprawie ustawy o ochronie przyrody.
3. **Grażyna Woysznis:** Zielona rewolucja. Tygodnik „Stolica", 1948 r., nr 34.
4. **Dr St. Jarosz:** Nakaz chwili. „Stolica". 1948 r., nr 38.
5. **Arkady Fiedler:** Las musi zdobyć nasze serca „Stolica", 1948 r., nr 41.
6. **Inż. Z. Karpiński:** Lasy są płucami wielkiego miasta. „Stolica", 1949 r., nr 1.
7. **Inż. H. Białobrzeski:** Odbudowa lasów podstołecznych. „Stolica", 1949 r., nr 15.
8. **Dr St. Jarosz:** Zabytki przyrody na terenie Warszawskiego Zespołu Miejskiego. „Stolica", 1949 r., nr 15.
9. **Inż. H. Morsztynkiewicz:** Wprowadźmy puszczę do miasta. „Stolica", 1949 r., nr 15.
10. **Inż. T. Piper:** Zielone bogactwo Wielkiej Warszawy. „Stolica", 1949 r., nr 15.
11. **Wacław Kaczyński:** Z dziejów łowiectwa w Puszczy Kampinoskiej. Łowiec Polski, 1947 r., nr 5.
12. **J. i R. Kobendza:** Puszcza Kampinoska. „Czytelnik", 1945 r.

Witold Plapis.



Inż. JULIAN BOHUSZ

Zwierzyna płowa w gospodarstwie leśnym

Zagadnienie hodowli zwierzyny płowej, a ściślej mówiąc — jelenia w ramach gospodarstwa narodowego, jest zazwyczaj rozpatrywane z punktu widzenia szkód, czynionych przez tę zwierzynę w gospodarce rolnej. Rzadziej już mówi się o sprawie szkód w gospodarstwie leśnym i bardzo różnie sprawy te się naświetla i ocenia. Faktem jest, że zwierzyna płowa odgrywa swoją rolę w hodowli lasu i o szkodach leśnych mówić należy. Należy jednak mówić w sposób właściwy i obiektywny, bez opierania wniosków na faktach skrajnych i nietypowych.

Zagadnienie szkód, wyrządzanych przez zwierzynę płową, należy wszechstronnie rozważyć i naświetlić, aby raz wreszcie określić rolę hodowli tej zwierzyny w planowej gospodarce Państwa.

O zwierzynie w ogóle, a zwłaszcza o zwierzynie tzw. grubej, nie można mówić w oderwaniu od środowiska przyrodniczego, w jakim ona bytuje, pozostając z nim w stosunku wzajemnego oddziaływania. Oddziaływanie to przejawia się z jednej strony, chociażby właśnie w postaci szkód polnych i leśnych, z drugiej np. przez wpływ warunków wyżywienia na poroże. środowiska na tryb życia itp.

Mówiąc o wzajemnym oddziaływaniu na siebie elementów przyrody żywej, wkraczamy w pojęcie biocenozy. Biocenozą, jak wiadomo, nauka nazywa zjawisko współżycia istot żywych w środowisku o ustalonym w sposób trwały typie przyrodniczym. Zasadniczo biocenoza jest zrównoważoną formą współżycia, tj. każdy element żywy, rozpatrywanego środowiska. zajmuje w nim określone miejsce i odgrywa wyznaczoną mu rolę, bez naruszenia harmonii współżycia i trwałości zespołu danego biotopu.

Środowiskiem przyrodniczym, w którym znajduje wyznaczone miejsce zwierzyna płowa, a przede wszystkim jeleń, jest w naszych warunkach las. Jednakże w naszych również warunkach słowo „las" jest określeniem, z punktu widzenia przyrodniczego, bardzo wieloznacznym. W pojęciu przyrodnika i fitosocjologa las jest najwyższą formą asocjacji roślinnej, tworem naturalnym o dużej trwałości biologicznej. Z gospodarczego punktu widzenia „lasem" nazywana jest niemal każda plantacja drzew, bez względu na to, w jakim stopniu egzystencja jej jest uzależniona od stałej opieki ludzkiej.

Z przyrodniczego więc punktu widzenia istnieje poważna różnica między lasami, powiedzmy — Puszcz Białowieskiej i Tucholskiej.

W biocenozie środowiska leśnego, obok bogatych zespołów roślinnych, odgrywają również rolę przedstawiciele świata zwierzęcego, a więc i zwierzyna. Jest ona nieodłącznym elementem tego środowiska, a przede wszystkim lasu pierwotnego.

Jeśli jeleń w lesie pierwotnym występuje i egzystencja jego jest zharmonizowana z całokształtem przejawów bytowania tego środowiska, nie można zaprzeczyć uznaniu go za trwały czynnik biocenozy leśnej

Czy wobec tego można mówić o jego szkodliwości?

I tak, i nie.

W biocenozie środowisk pierwotnych, niezmienionych zasadniczo przez ingerencję człowieka, nie ma istot żywych ani szkodliwych, ani pożytecznych. Pojęcie szkodliwości jest pojęciem subiektywnym, determinującym stosunek pewnego gatunku zoologicznego czy botanicznego do poczynań i interesów gospodarczych człowieka. W naturze każda istota żywa ma do spełnienia rolę przyczyniającą się do harmonii współżycia zespołu. Zdarzające się naruszenia równowagi tej harmonii są w sposób naturalny szybko likwidowane, nie zagrażając trwałości asocjacji.

Nigdy więc jeleń nie stanie się czynnikiem uniemożliwiającym odnowienie lasu pierwotnego. Nigdy np. spałowanie nie wystąpi w warunkach lasu pierwotnego, jako zjawisko godne uwagi.

Dlaczego tak się dzieje?

Ponieważ w warunkach pierwotnych zwierzyna posiada zapewnione i dostosowane do swoich potrzeb warunki egzystencji, a przede wszystkim wyżywienia.

Zastanówmy się, jakiego rodzaju najpoważniejsze szkody wyrządza jeleń w gospodarstwie leśnym. Są one: przycinanie upraw i młodników oraz spałowanie. Karma, jaką w tej drodze zdobywa jeleń, nie jest dla niego karmą typową i stanowi z pewnością malum necessarium, którym zwierzyna jest zmuszona zadowolić się w braku krzewów podszytowych, miękkich gatunków drzew liściastych, owoców drzew i krzewów leśnych, grzybów i traw słodkich. W warunkach lasu pierwotnego, charakteryzującego się wysoce urozmaiconym składem gatunkowym, wielopiętrową strukturą, obfitością podszytów i bogactwem runa, jeleń znajdzie zapewnione warunki najodpowiedniejszego wyżywienia naturalnego, bez potrzeby uciekania się do „rezerwy głodowej" i bez potrzeby stawania w kolizji z interesem asocjacji leśnej, której jest składnikiem.

W warunkach obfitujących w karmę naturalną lasu pierwotnego również liczebność pogłowia jelenia może być, bez zagrożenia równowagi biocenotycznej. stosunkowo duża. Przysłowiem stały się przecież „pełne zwierza bory" dawnych czasów. W czasach tych były „bory", była i „zwierza" obfitość. i była słaba jeszcze ingerencja człowieka.

Dziś sytuacja zmieniła się radykalnie. Przyszła gospodarka leśna człowieka, a zniknęły „bory" w dawnym rozumieniu tego słowa.

Jeleń stanał w kolizji z interesami człowieka, gospodarującego w lesie. Stał się „szkodnikiem" przez niszczenie upraw i młodników

Dlaczego?

Pytanie to należy rozważać ostrożnie i z należytym obiektywizmem.

Jeśli poważny nawet ilostan jeleni w lesie pierwotnym nie zagrażał trwałości jego bytu, dlaczego obecnie postać rzeczy uległa zmianie?

Chcąc na to pytanie odpowiedzieć, należy zastanowić się uprzednio nad warunkami, w jakich zwierzyna żyje w pospolitym dziś typie lasu zagospodarowanego i czym warunki te różnią się od dawnych.

Odpowiedź na to pytanie sprowadza się do określenia różnicy między lasem pierwotnym i dominującym obecnie w warunkach środkowoeuropejskich typem lasu zagospodarowanego. Genezą zmian, jakim uległ wygląd lasu, jest ewolucja pojęć panujących w gospodarstwie leśnym w ubiegłym stuleciu, pojęć

i poczynań gospodarczych, od których historia leśnictwa notuje dziś radykalny odwrót.

Trudno na łamach pisma łowieckiego zagłębiać się w analizę zagadnień lasu i leśnictwa. Ograniczyć się więc musimy do lapidarnej charakterystyki tego, co do niedawna nazywano lasem prawidłowo zagospodarowanym i co dziś stanowi w Europie powszechnie panujący typ lasu.

A więc gospodarstwo zrębowe, czyste drzewostany jednogatunkowe i jednowiekowe, na 80% powierzchni leśnej iglaste, odnowienie sztuczne, brak domieszki drzew liściastych, a przede wszystkim osiki, brak podszytów i katastrofalna redukcja ich rozmaitości rodzajowej, zubożenie runa leśnego i degradacja siedlisk.

Kwestia pierwsza wkracza znów w dziedzinę rozważań gospodarczo-leśnych. Musimy ją więc ograniczyć do podania najnowszych poglądów na reformę gospodarstwa leśnego i oceny, do niedawna panujących zasad tego gospodarstwa.

Musimy zatem stwierdzić, że dzisiejsza nauka leśnictwa potępiła zdecydowanie dawne systemy szablonowej gospodarki, wiodące nieuchronnie do wynaturzenia lasu, obniżenia jego trwałości biologicznej i hodowania drzewostanów sztucznych, wysoce wrażliwych na wszelkie czynniki, zagrażające ich egzystencji, drzewostanów, które zatraciły równowagę biologiczną i charakter trwałych asocjacji.

Dziś coraz powszechniej obserwuje się w dziedzinie techniki gospodarstwa leśnego nawrót do naśla-



Sarenka *fot. A. Wiśniewski*

Po tym, co przypomnieliśmy wyżej o karmie naturalnej jelenia, staje się jasne, że warunki bytowania tej zwierzyny uległy radykalnej zmianie na gorsze. Odbija się to, jak powszechnie wiadomo, zarówno na kondycji zwierzyny, jak i na jej stosunku do środowiska, w którym żyje.

Jeleń musi żyć i musi jeść to, co mu człowiek w lesie do jedzenia pozostawił; staje się szkodnikiem z punktu widzenia interesu gospodarki człowieka.

Czy jednak z tego wynika, że jeleń powinien z lasu ustąpić, jako czynnik kolidujący ze sprawami gospodarki ludzkiej?

To jeszcze zależy, zależy od dzisiejszej oceny tej gospodarki i od wyjaśnienia kwestii czy człowiek rzeczywiście nie znajdzie sposobu stworzenia modus vivendi między jeleniem i lasem w formie, jak ją wyżej opisaliśmy.

downictwa natury. Człowiek usiłuje naprawić to, co przez lat dziesiątki, jeśli nie setki, systematycznie psuł w najlepszej zresztą wierze, że postępuje w sposób właściwy, w przeświadczeniu, że rozumem swych potrafi poprawić i udoskonalić naturę.

Powraca się dziś do gospodarki bezzrębowej, do mieszanej i wielopiętrowej struktury drzewostanów, usiłuje się przywrócić na właściwych siedliskach panowanie odpowiednim rodzajom drzew, wprowadza się podszyty i rodzaje drzew do niedawna kwalifikowanych, jako tzw. „chwasty leśne".

Polska wkroczyła również na drogę modernizacji gospodarstwa leśnego. To wszystko, co powiedziano wyżej, jest dziś w całej rozciągłości realizowane, jako program gospodarczy lasów państwowych.

Nim jednak osiągniemy cel zamierzony na drodze, na której stawiamy dziś krok pierwszy, upłynąć mu-

szą lat dziesiątki. Po wielu dopiero dziesiątkach lat zwierzyna znajdzie się znów w lesie o typie naturalnym, który zapewni bogatym nawet zwierzostanom obfitość właściwej dla nich karmy, bez potrzeby naruszenia interesów gospodarczych człowieka.

Taki stan rzeczy, aczkolwiek najzupełniej możliwy i spodziewany, jest dziś muzyką dalszej przyszłości. Nas zaś musi interesować rzeczywistość i chwila obecna.

Pytanie więc czy dziś w warunkach dla jelenia niekorzystnych i całkowicie wywołanych przez błędną gospodarkę leśną człowieka, mamy prawo wydać na niego wyrok śmierci?

Wydaje mi się, że nie. I to zarówno ze względów etycznych, jak i gospodarczych. O pierwszej kategorii tych względów mówić nie będę, jako że rzadko stanowią one argument brany pod uwagę w kalkulacjach gospodarczych.

Ale wzgląd drugi ze wszech miar zasługuje na uwagę.

Po pierwsze bowiem, jeśli w dalszej przyszłości uznamy hodowlę jelenia za możliwą i celową, likwidacja tej zwierzyny obecnie na większych obszarach lasów, a nawet zbyt radykalna redukcja pogłowia, odbije się w sposób wysoce niekorzystny na wynikach hodowli w perspektywie dalszej przyszłości. O tym nie trzeba przekonywać znawców przedmiotu.

A po drugie, zastanowić by się jeszcze należało czy i w dzisiejszych warunkach ekonomicznych kraju jeleń nie równoważy wyrządzanych szkód przez inne korzyści gospodarcze. Trudno jest operować cyframi przy równoważeniu jednego i drugiego, wobec braku materiałów statystycznych. Spróbujmy jednakże przytoczyć parę liczb orientacyjnych z zakresu gospodarki lasów państwowych w 1948 roku. Odstrzał jeleni można tu szacować globalnie na circa 500 sztuk, o wadze netto przeciętnie 100 kg, co daje 50.000 kg po cenie 200 zł/kg, a więc wartość ubitej zwierzyny wynosi 10 milionów zł.

Inna rzecz oczywiście, jak przedstawiać się powinna liczebność pogłowia w stosunku do zamożności łowiska. Rzecz ta nie da się ująć w przewidziane z góry recepty i jest całkowicie zależna od warunków lokalnych.

Jeśli chodzi o istotną liczebność jelenia w lasach dzisiejszej Polski, to opinie w tym względzie są wysoce przesadne. Większe nasilenie tej zwierzyny mamy jedynie w Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Olsztyn, w pewnych okolicach Okręgu Poznań (Puszcza Międzychodzka) i Okręgu Toruń.

Na terenie Ziem Odzyskanych pogłowie jeleni, w zestawieniu ze stosunkami przedwojennymi, jest dosłownie zdziesiątkowane. Dla porównania podam, że np. w roku 1937/38 na obszarze tylko Ziem Odzyskanych odstrzelono ponad 3.000 sztuk jeleni.

Stan więc dzisiejszy, jeśli chodzi o rozprzestrzenienie jelenia, jest raczej skromny i nie można by zgodzić się z sugestią jego redukcji.

Nie znaczy to oczywiście, aby należało jednocześnie lekceważyć szkody, ponoszone przez gospodarstwo leśne. Jednakże istnieje wiele sposobów zapobiegawczych, które mieszczą się w jednym tylko określeniu — „prawidłowa hodowla zwierzyny". Z szeregu kardynalnych jej zasad należy tu wymienić:

regulowanie liczebności pogłowia,
dokarmianie,
zabezpieczanie młodników i upraw.

Zasady powyższe, szczególnie szeroko rozbudowane w warunkach hodowlanych sztucznych i ubogich w karmę naturalną lasów, przy pełnej ich realizacji, czynią hodowlę jelenia imprezą dość kosztowną.

W warunkach lasu naturalnego, jak usiłowałem wyżej przedstawić, koszty hodowlane winny ulec znacznej redukcji i ciężar wyżywienia zwierzyny winno w znacznej mierze ponieść samo łowisko.

W każdym jednakże wypadku liczebność jelenia nie powinna być elementem przypadku lub fantazji hodowcy, ale wynikiem z góry ułożonego planu hodowlanego. Tak też sprawę planowej hodowli winna ujmować nowa ustawa łowiecka.

Pisząc te słowa o warunkach bytowania zwierzyny płowej w środowisku leśnym, chciałbym, aby stosunek leśnika do niej był stosunkiem właściwym, aby rejestrując trudności, jakie mu ta zwierzyna sprawia w jego pracach gospodarczo-hodowlanych, doceniał jednocześnie jej znaczenie gospodarcze, sytuację przymusową, w jakiej znalazła się przez zmianę oblicza lasu pierwotnego, dokonaną właśnie ręką leśnika, wreszcie własny obowiązek hodowcy i gospodarza jej ostoi.

Na ogół leśnik w ten właśnie sposób podchodzi do zagadnienia szkód wyrządzanych mu przez zwierzynę grubą i stosunek jego do tej zwierzyny jest pozytywny. Spotyka się jednakże głosy przeciwne i w sposób odmienny ujmujące kwestię przyczynowości szkód. Spotyka się, np. opinię, że przyczyną zachwiania biocenozy środowiska leśnego jest zanik ssaków drapieżnych, jak: wilka, rysia, żbika, który powoduje nadmierny wzrost pogłowia zwierzyny płowej. Twierdzenie takie wydaje mi się zbyt daleko idącym uproszczeniem analizy przyczyn szkodliwości zwierzyny z punktu widzenia gospodarki leśnej, a to chociażby w świetle tego, co powiedziałem o zmianie charakteru łowisk leśnych. Również powoływanie wilka czy innego drapieżnika do roli regulatora liczebności pogłowia w łowisku zagospodarowanym, wydaje mi się wysoce archaicznym poglądem na zasady i technikę współczesnej gospodarki łowieckiej.

A poglądy takie można znaleźć w literaturze fachowo-leśnej. Znalazłem je chociażby w książeczce dra inż. M. Czarnowskiego pt. „Wstęp do hodowli lasu", przeznaczonej dla młodzieży szkół leśnych. W książeczce tej znaleźć można powtórzoną w cudzysłowie, ale aprobowaną przez autora wypowiedź, którą muszę in extenso przytoczyć:

„...Zwracam się w tym miejscu do wszystkich, komu leży na sercu dobro lasu polskiego, o niezwłoczne poddanie gruntownej, spokojnej rewizji swego sentymentalnego stosunku do tego największego szkodnika naszych lasów, szkodnika, kóry udaremnia najbardziej wytężoną i kosztowną pracę i trud leśników, niszcząc najlepsze efekty gospodarcze..."—mowa o zwierzynie płowej.

Sprawa zwierzyny płowej została w omawianej książeczce potraktowana, jak widać, wysoce radykalnie i wyczerpana, aż na półtorej stronie druku; czy jednak została rozważona „spokojnie", „beznamiętnie", a nade wszystko wszechstronnie i bezstronnie, o tym pozwalam sobie wątpić. Wątpliwą również wydaje się właściwość tego rodzaju naświetlania spraw łowiectwa

w elementarnym podręczniku fachowo-leśnym, przeznaczonym dla uczącej się młodzieży, która bezkrytycznie przyjmując autorytatywne wypowiedzi autora, wyrabia sobie, łagodnie określając, jednostronny pogląd i stosunek do spraw łowiectwa, pogląd mogący szkodliwie zaważyć na dalszych studiach tej dziedziny wiedzy, a nawet na pracy zawodowej.

W każdym wypadku przy rozważaniu problemu spornego obowiązuje zasada „audiatur et altera pars“, a winna być ona skrupulatnie przestrzegana przede wszystkim w podręczniku szkolnym, który bierze na siebie odpowiednią misję **nauczania.**

Inż. Julian Bohusz.

Marzec 1949 r.

ZBIGNIEW KOWALSKI

Tuzin kaczek*)

Drobne i błahe na pozór zdarzenia, które trafiają się w życiu każdego prawie człowieka, z biegiem lat nabierają powagi, a nawet urastają do miary symbolu. Zdarzenia te — to pierwszy wypalony papieros, pierwsza belka na podchorążackich naramiennikach, pierwsza zarobiona pensja czasami pierwszy frak.

Nie każde z tych zdarzeń, o których wspomnienie zapadło w duszę głęboko, przeważnie na całe życie, są przyjemne czy najlepsze. Rzadko bowiem pierwszy papieros nie wywołuje morskiej choroby, nie każda naszywka zdobyta bywa w pierwszej kolejce awansowej, często otrzymana pensja nie usprawiedliwia ogromu wysiłku włożonego w pracę, nie każdy też frak...

Tak, nie każdy pierwszy frak bywa sposobem do zabłyśnięcia choćby na studenckiej wieczorynce. Bywają fraki które, owszem, potrafią zwrócić ogólną uwagę na czarno i biało obleczonego młodzieńca, ale z innych zupełnie niż należało by powodów.

Również i z moim frakiem historia była od samego początku naprawdę pechowa. A przecież balowy ten strój, kunsztownie zestawiony ze starego ojcowskiego żakietu, nabrał po wielu przeróbkach i poprawkach dostatecznie wciętej talii i aż przesadnie wydłużył swe jaskółcze poły. Jednym słowem frak był prawie zupełnie bez zarzutu.

Balik, urządzony przez moją ciotkę dla młodzieży w wieku między maturą a półdyplomem, na którym miał odbyć się mój dziewiczy występ, zakrojony był na miarę prawdziwego balu. Bowiem prosperity w roku 1924, w ostatnim roku zwariowanej, powojennej dewaluacji, kazało ludziom wydawać pieniądze jak najprędzej, wszystko jedno na co, byle od razu, byle już. To też jak na przeciętny wiek uczestników tej zabawy, przygotowano grubo za dużo alkoholu. Zamiast niewidomego tapera, miało też przygrywać do tańca reprezentacyjne trio z pobliskiego miasteczka Zakroczymia.

Z powodu przeciągającej się do godziny osiemnastej, obowiązkowej w owym czasie praktyki wakacyjnej w banku, wyjechałem z Warszawy późno nad wieczorem. Toteż we frak zmuszony byłem przebrać się już w domu, bezpośrednio przed wyruszeniem w drogę.

Ze strzelbą, bez której nie ruszałem się nigdy na wieś, i z mikroskopijną walizeczką, zganiany, załadowałem się wreszcie do wagonu na Dworcu Gdańskim A że do zapadłego folwarczku, miejsca zabawy, odległość od stacji kolejowej wynosiła jeszcze parę kilometrów, więc by nie pognieść długich do pięt pół fraka, przypięła mi je siostra agrafką do kołnierza. Było to zresztą konieczne, gdyż puszczone wolno poły, wystawały mocno spod kusego, studenckiego paletka.

O zmroku, na miejscu już, w gwarze powitań, okrzyków i radości, zapomniałem na śmierć o agrafce, skracającej moje ubranie o połowę. Wiewając na plecach czarnymi połami, jak skrzydłami kruka, schylałem się do rąk paniom, ściskałem dłonie znajomych.

Przez dobre dziesięć minut uśmieszki, wielomówiące spojrzenia i dziewczęce chichoty brałem za furorę, jaką strój mój zrobił, w który poza mną odziany był tylko jeden absolwent politechniki.

Młodzież w wieku pełnolecia szczęśliwie nie pamięta długo takich potknięć towarzyskich, toteż po upływie godziny zapomniano o wesołym incydencie, szczególnie, że i zabawa stawała się coraz lepsza.

Ja zaś byłem zupełnie wniebowzięty, bowiem pewne bardzo ciemne oczy i bardzo jasne włosy, nie tylko nie uznały mojej niefortunnej przygody za śmieszną, ale...

— Zachował się pan nadzwyczajnie. Zaimponowało mi pana opanowanie.

— Ależ panno Aneczko!

— Tak. Tak. Szczególnie prośba, żeby tę nieszczęsną agrafkę odpiął panu Wojtek, była bezkonkurencyjna.

Wojtek, student medycyny, ongiś serdeczny przyjaciel, był obecnie moim nieprzejednanym wrogiem i rywalem do serca panny Anny.

Zaskoczony zupełnie słowami dziewczyny, nie zdobyłem się na nic więcej, jak na mocno nieinteligentne, ale z gorącym uczuciem powtarzanie słów:

— Panno Aneczko!

Spojrzenie ciemnych oczu upewniło mnie jednak że na przekór wszelkiej logice użyłem zwrotu ze wszech miar właściwego.

Potem tańczyliśmy do upadłego.

Wirowała lekko, powiewnie, biała w złote groszki, mocno bufiasta sukienka. Fruwały czarne długie do pięt poły. Jasne loki coraz częściej zaczęły się ocierać o jedwabną klapę fraka.

Tańczyliśmy tak bez przerw i wytchnienia, i tylko ze sobą, aż okrąglutka mama Aneczki zaczęła się kręcić niespokojnie na złoconym krzesełku, marszczyć brwi i sznurować usta w dobrze znany, nie bardzo przyjemny sposób.

Kiedy rozkołysani w walcu mijamy korpulentna panią, słyszę urywek rozmowy:

— Święci Pańscy! Już siódmy taniec z Tadeuszem.

— Tak, tak moja pani radczyni. Straszna jest ta młodzież po wojnie — przytakuje inna mama, siedząca

---

*) Opowiadanie z książki pt. „Cztery skóry wilcze“, która ukaże się niebawem nakładem Spółdzielni Jedność Łowiecka.

jak wszystkie na cenzurowanym pod ścianą, w tęsknym oczekiwaniu na wyzwolenie, czyli koniec balowania córki.

A za oknami ledwo różowieją pierwsze zorze i szafir nocnego nieba powolutku stapia się w seledyn.

— Świta. Musi być pięknie na dworze. Chodźmy na spacer, Aneczko.

— Dobrze.

I wtedy, w ciemnym korytarzu w przejściu, chcący czy niechcący, pocałowałem ją w usta. A dziewczyna, rozkwitła zawstydzeniem jak czerwona róża, objęła mnie mocno za szyję. Przez chwilę staliśmy bez ruchu, spłoszeni własną odwagą i onieśmieleni niespodziewanym czynem, po czym Aneczka odwróciła się i uciekła. Ja zaś z wielkiej radości, napuszony jak paw, wróciłem do zastawionego jeszcze stołu i urżnąłem się w pestkę.

A potem? Ach, właśnie potem....

wiecka kazała mi już widzieć zrywające się, podobne chmurze, stado rozkrzyczanego ptactwa.

Gajowy spostrzegłszy moje wątpliwości dodał chytrze:

— Jakby było to gdzie dalej, czy głupie jedno albo dwa stadka, to bym i znać nie dawał. Ale tak...

Byłem już prawie zupełnie przekonany słowami Filipka, trzeba tylko jeszcze przełamać w sobie takie opory wewnętrzne, jak rosa, frak, ciemne oczy i Wojtek, tak Wojtek.

— Jak pan Tadzio nie zechce zapolować, to czy mogę obudzić pana rządcego?

Opory zewnętrzne prysnęły jak szklana tafelka.

— Zaraz idę. Czekajcie Filipek koło cieplarni.

— Słucham — uśmiechnął się stary wyga.

Sześć ładunków, ułożonych misternie w kieszonkach białej kamizelki, strzelba pod pachą, nogawki od



Na stawie *fot B. Miszke*

We łbie kręci się. W tangu pokój wiruje wokoło jak w ostatnich turach figurowego walca. W czasie walca posadzka salonu pokryta jest jakby lodem i położona dziwnie krzywo, ukośnie niczym w zwariowanym oberku. Oberka zaś w ogóle nie mogę tańczyć.

Głowa robi się coraz cięższa, nogi też.

Wojtek, rywal Wojtek, korzystając z mojego braku równowagi, zaczyna się po troszeczku przysuwać w stronę Aneczki. Trzeba przyjść do siebie, już, natychmiast.

Ruszam więc zygzakiem w stronę tarasu, by odetchnąć świeżością poranku, wyparować z alkoholu w chłodnym powietrzu i chwycić się tym samym w ręce jak najprędzej.

Po drodze znów w mrocznej, pamiętnej sionce chwyta mnie ktoś nagle za rękaw.

Szara, prawie niewidoczna postać wychyla się z ciemności. To gajowy Filipek, zaufany przyjaciel, powiernik i kompan wypraw łowieckich. Filipek szepce.

— Na staw, ten pod nowińskim zagajnikiem, przyleciały kaczki. Sztuk, no... dwieście.

— Gdzie? Na nowiński staw? Pod samym domem? Dwieście sztuk?

— Może nawet i trzysta ich będzie.

Wzruszyłem w pierwszej chwili ramionami. Trzysta kaczek? Przecież nowiński staw to niewielkie oczko wodne, położone wszystkiego trzysta metrów za zabudowaniami. Zaraz za sadem. Na tafli wodnej nie pomieściłoby się chyba tam tak wielke stado, choćby nawet kaczki siedziały jedna tuż koło drugiej.

Pomimo tych wątpliwości gorąca wyobraźnia ło-

spodni zawinięte do wysokości podwiązek i byłem już gotów.

Cicho podchodzę do drzwi salonu. Orkiestra gra „jawę". Tańczący biegają drobnym kroczkiem, podrygując niby pliszki na łące. Mamy i ciocie, zgrupowane przy stoliczku, piją kawę i gadają, gadają. Po drugiej stronie pokoju, długi rząd najróżnorodniejszych krzeseł, pościąganych z całego domu, stoi pusty.

Tańczą wszyscy.

Nie, jeden fotelik, tuż przy drzwiach jest zajęty. Biała, w złote kropeczki sukienka, bufiaste rękawki.

Aneczka czeka.

Wysuwam powoli głowę zza futryny, a potem wymownie kiwam głową w stronę dziewczyny. Aneczka najprzód czerwieni się, potem wstaje i jakby ociągając się, wychodzi. Może boi się, że znowu będę ją chciał pocałować, może wstydzi się wspomnień.

Chwytam ją za rękę. Przyciągam blisko do siebie.

— Aneczko!

— Nie, nie. Nie teraz.

— Ależ głuptasku. Mnie chodzi o coś zupełnie innego. Kaczki.

— Co? — pada pełne zdumienia pytanie.

— No, kaczki. Kaczki na stawie, tuż za domem.

W tej samej chwili panienka dostrzega mój podkasany strój i akcesoria łowieckie. Oczekuję, że jeszcze chwila a Aneczka wybuchnie niepohamowanym śmiechem. Zaczynam marszczyć czoło. Ale zakochane oczy patrzą inaczej, zupełnie inaczej.

— Wyglądasz, jakby w stroju sprzed stu lat. Pończochy do fraka, order podwiązki.

Uśmiechamy się do siebie promiennie, tak jak tylko młodość umie się uśmiechać. Ale pomimo wszystko, Aneczka nie jest jeszcze przekonana.

— Staw jest zaraz za domem. Bliziutko. Chodź — namawiam ją zatem w dalszym ciągu żarliwie — przecież za dziesięć minut będziemy z powrotem.

— No, dobrze, dobrze, ale widzisz, jak zniknęliśmy przed tym, to mama już sznurowała usta — czerwieni się znów na wspomnienie Aneczka — boję się, że dostanie jeszcze całotygodniowej migreny. Brr!

— Patrz! teraz jedni po drugich wymykają się do ogrodu oglądać wschód słońca. Patrz! tam pod kasztanem na ławeczce Irenka. Nawet grzeczna Irenka. Zresztą z nami idzie gajowy Filipek.

— No to masz już towarzystwo, jestem ci niepotrzebna — z niekonsekwencją dorosłej kobiety wycofuje się teraz dziewczyna.

— Filipek w takim razie zostanie.

— Dobrze.

— Czekam koło cieplarni.

— Będę za parę minut.

— Pa, kochanie!

— Pa! — kiwa mi wdzięcznie ręką i już szeleści jej sukienka za drzwiami.

Cieplarnia. Płaczą, zroszone poranną rosą, ułożone jedna przy drugiej, szybki. Czerwienią się, błękitnieją i złocą pęki, naręcza i bukiety kwiatów.

Wychodzimy na powietrze. Rzeźki, chłodny poranek, zapach ogrodu i różowa fala promieni wschodzącego słońca, zmywają z serca wszelkie wątpliwości i obawy jak kurz z twarzy; choć właściwie to nie wiele było tych wątpliwości i obaw.

Biegniemy, trzymając się za ręce. Wilga zanosi się śpiewem na wysokiej topoli, ćwierka drobiazg ptasi po koronach rozłożystych lip.

Z wypielęgnowanych dróżek ogrodu niedaleko już do nowińskiego stawiku, ot zaledwie 150 kroków. Niepomiernie obfita rosa czyści w mig zakurzone lakierki, moczy skarpetki, pryska na twarz. Aneczka unosi coraz wyżej stopy i coraz wyżej podciąga sukienkę.

— Idź ślad w ślad za mną. Będę strącał całą rosę — mówię, zawijając przy każdym kroku nogami po trawie, jakby kosą po dojrzałym zbożu.

Ale to niewiele pomaga. Pończoszki Aneczki wsiąkają w ciało, nikną, pantofelki, oj gorzej z pantofelkami, pantofelki ciemnieją i zaczyna z nich złazić złota farbka. Sukienka wędruje coraz wyżej.

— Jak ona ma pięknie związane kolana — biegnie mi niepotrzebna myśl przez głowę.

— Buciki puszczają farbę może zostaniesz lepiej, Aneczko — dodaję głośno.

— Nie. Przecież mówiłeś, że to jest parę kroków.

— Tak. Tuż za tymi świerkami.

Niestety, dalej trawa jest jeszcze wyższa. Trudno, brniemy przed siebie. Sukienki Aneczce podciągać już wyżej nie wypada, więc coraz więcej ciemnych kropel wilgoci łączy się ze złotymi groszkami, aż wreszcie cały brzeg i falbanki nasiąkają wodą.

Tak. Nie warto się już cofać. Pozostało wszystkiego 100, 60, 20 kroków.

Szybko wysuwam się spoza szpaleru rosnących nad stawem drzewek. Jednocześnie, jak poszum zrodzonej nagle burzy, podnosi się brązowa chmura trzepoczących się, kwaczących i gwiżdżących skrzydłami kaczek

Dwa strzały spod pachy, dane ot poprostu w stado, zlewają się prawie w jeden. Zabite krzyżówki sypią się jak z worka — dwie, pięć, sześć. O, jeszcze jedna zbarczona wgryza się ukośnym lotem w oczeret.

Z niewygodnej, ciasnej kieszonki, wyszarpuję nowe ładunki. Szczękają eżektory, dźwięczy zatrzaskiwana strzelba.

Jeszcze dwa strzały. Jeszcze jeden.

— Ha! — oddycham głęboko jak po wielkim przeżyciu.

A było to wielkie przeżycie. Tryplet do dzików zrobiony w piętnaście lat później, nie dał mi tej emocji, co seria trafnych strzałów do zwyczajnych krzyżówek, wtedy.

Aneczka bije brawo i woła:

— A to będzie w domu sensacja, gdy przyniesiemy taki pęk kaczek.

Podbiczowany słowami dziewczyny, nie namyślając się wiele, skaczę do wody po zdobycz. Na decyzję, ani nawet na refleksje, nie ma czasu, zresztą jestem i tak gruntownie przemoczony do wysokości kolan. Więc naprzód!

Woda jest niegłęboka, najwyżej do pasa, moczą się więc ledwo wydłużone w szpic końce staromodnej kamizelki. Poły od fraka płyną za mną po powierzchni wody jak czarne, lśniące płozy hydroplanu i zamiatają mięsiste, zielone liście grążeli.

Pięć, sześć kaczek mam już w ręku. Trzy zebrała nad brzegiem Aneczka. Dziesiąta tłucze się po wodzie, odpływa, jeszcze ucieka. Nieostrożnie zapuszczam się za nią pod sam oczeret i nagle zapadam się aż po pachy. Zatyka mnie od niespodziewanej zimnej kąpieli. Ale nic to, dziesiąta krzyżówka, chwycona za szyję, tłucze się słabnącymi skrzydłami już w ręku.

Wracamy szybko w stronę domu.

Słońce łamie się tysiącami brylantów w kroplach rosy, wiszących na źdźbłach trawy w posiwiałych łąkach. Różowy, wąski pasek mgły przecina granatową smugę lasu na pół jak orderowa szarfa. Między starymi topolami na skraju sadu wisi srebrzysty pył, spadającej z drzew wilgoci. Słońce zaczyna przygrzewać, ale zrywający się lekki poranny wiatr pociąga miłym ożywczym chłodem.

Wracamy więc coraz szybciej. Kaczki ciążą w rękach, mokre ubranie jeszcze bardziej.

Do ciemnych kropel rosy i złotych groszków na sukience Aneczki przybywają teraz czerwone centki krwi kaczej. Bowiem panna wszystkie podniesione własnoręcznie krzyżówki dyguje do domu sama i nie chce mi ich oddać.

Cieplarnia. Gajowy Filipek bierze ode mnie strzelbę. Krokiem triumfatora podchodzę pod ganek domu. Aneczka idzie krok w krok za mną, ale idzie coraz wolniej, i jakby ociągając się.

— Człowieku! jak ty wyglądasz? — woła Wojtek, a zaraz potem ryczy w głąb domu: „Tadeusz się utopił".

— Że też zawsze muszę się natknąć na tego bałwana — mówię do Aneczki.

Ale dziewczyna nic nie odpowiada, milczy.

Jednocześnie wyraja się na ganku tłumik młodzieży. Przez chwilę panuje odbierające wszystkim mowę zdumienie, a zaraz potem rozlega się chóralny wybuch śmiechu.

Przyprowadza mnie to do rzeczywistości, resztka śliwowicy wietrzeje z głowy jak kropla wody wylana na rozpaloną płytę. A kiedy powoli i krytycznie zaczynam spoglądać na swój strój — truchleję, szczególnie, że w tej samej też chwili zjawia się na ganku parę

cioć i wujenek. W sekundę później wtacza się również Aneczkowa mama.

I wtedy wybucha pierwsza bomba.

Okrąglutka pani blednie, czerwieni się, sinieje, potym znów blednie. Zmiany koloru twarzy następują tak szybko po sobie, że jeszcze chwila. a tknie ją apopleksja. Ale baba twarda jest jak kamień; po ciężkiej minucie milczenia odzywa się zwykłym, ostrym głosem:

— Anno, proszę na górę!

Kaczki, dotąd jeszcze trzymane przez dziewczynę, lecą bezwładnym ruchem na ziemię i układają się na usypanej piaskiem drodze w zawiły jakiś hieroglif. Aneczka opuszcza zrezygnowanym ruchem głowę i wbiega na schodki. Ślady jej kroków znaczą się na stopniach ciemnymi mokrymi plamami, jak negatyw tropów na śniegu. Kiedy znika już we drzwiach widzę, że złotko z małych pantofelków zlazło już kompletnie.

Pod obstrzałem oczu, uśmieszków i niezadanych pytań, pozostaję sam. I wtedy, dopiero wtedy, zdaję sobie sprawę, jak też naprawdę wyglądam.

Spodnie niby czarne rury od piecyka, sterczą sztywno ku dołowi. Zcieniałe, wydłużone. nasiąknięte wilgocią poły fraka sięgają ziemi i płaczą kroplami wody. Toteż niewielka kałuża pod nogami zamienia się powoli w jeziorko. Przez gors zwiotczałej, zmokniętej koszuli biegnie, na wysokość spinki, zielona wsążeczka drobniutkich ziarenek rzęsy wodnej, niby akademicka banda.

— To wodowskaz głębokości nowińskiego stawu – mówi rywal Wojtek, który musiał wyczuć o czym w tej chwili myślę.

— A ja chciałbym zobaczyć wodowskaz płytkości twojego dowcipu — odcinam się.

— Idź na górę i przebierz się — przerywa mi i przyprowadza ostatecznie do przytomności spokojny głos ciotki.

Znowu, znacząc za sobą trop, dla odmiany jak cysterna do polewania ulic, biegnę śladami Aneczki na pięterko.

I wtedy wybucha druga bomba, ale wybucha szczęśliwie za drzwiami.

Przed wejściem bowiem do pokoju, przeznaczonego na ubieralnię dla pań, zatrzymuje mnie nagle rozmowa. Słyszę cichy głos Aneczki, słyszę mówiącą głośno, coraz głośniej mamę:

— Pokaż no, pokaż dokąd to masz mokre pończochy?

— Do końca.

— Do końca! A sukienkę?

— Na sukienkę uważałam. O, jest tylko trochę wilgotna, na samym brzegu.

— Jak to uważałaś?

— Podciągałam ją do góry.

— Święci Pańscy! Bezwstydna dziewczyno. A to co?

— Krew.

— Co?

— No, krew. Niosłam przecież Tadeuszowi kaczki

W tym miejscu Aneczka zaczyna cichutko pochlipywać.

— Komu je niosłaś? Cóż to za konfidencjonalne odzywanie się o obcym i wiatrogłowym człowieku?

— Bo jesteśmy już na ty. –

— Święci Pańscy! Od dawna? Od kiedy?

— Od dzisiaj, od wpół do drugiej. Może od drugiej.

Aneczka płacze już teraz na cały głos.

— No, już ja go nauczę rozumu, łajdaka! — sapie mama i pewno robi się znów blada, sina, fioletowa...

Lepiej więc i bezpieczniej dalszego ciągu nie słuchać. Przezornie. na palcach odchodzę od drzwi i chronię się w męskim pokoju. Zresztą trzeba się przecież przebrać.

Ładnie przebrać. przecież ja poza frakiem, szczoteczką do zębów i strzelbą, niczego więcej z Warszawy nie zabrałem. Rozpacz.

Kiedy zrzuciłem już z siebie mokre szmaty, które były kiedyś frakiem, słyszę na korytarzu ruch, kroki, a potem ostry głos.

— Za pół godziny masz być gotowa. Wyjeżdżamy.

Chwila ciszy, a potem znów kroki, ale ciche, jakby skradające się. A potem lekkie, nieśmiałe pukanie do drzwi.

Krew napływa mi do twarzy. serce zaczyna tłuc się jak oszalałe. Błyskawicznie narzucam na siebie gabardinowy płaszcz. Kiepski strój na przyjęcie pożegnalnych słów od ukochanej, ale zawsze lepszy od żadnego. No tak, dosłownie żadnego.

Aneczka puka po raz drugi, teraz już nieco natarczywiej.

— Kochana dziewczyna!

Naciskam klamkę. Powoli uchylają się drzwi i rozkudłana głowa Filipka ukazuje się z poza futryny A potem wsuwa się cała postać gajowego.

Niemieję. Krew odpływa z głowy. Zamieniam się w słup soli.

A Filipek wyciąga triumfalnie z poza siebie dwie zabite krzyżówki i mówi:

— Znalazł je Rolf w łące. Tak zaraz je panu przyniosłem, choć nakazywali oddać zwierzynę gospodyni. Razem będziemy więc mieli dwanaście sztuk

Gajowy milknie nagle, gdyż widzi, że przyniesione trofea nie robią na mnie żadnego wrażenia. Zdziwiony patrzy, a potem jeszcze mówi:

— Tuzin kaczek. Cały tuzin!

Ja milczę uparcie.

...

Słońce świeci jak oszalałe. Ogród pachnie tysiącem zapachów. Przez otwarte szeroko okno wlatuje jedna i druga brzęcząca pszczoła. Jest już gorący, letni dzień.

Rzucone na krzesełkach suszą się i parują białe i czarne części mojej garderoby. Cisza, aż w uszach dzwoni

Nagle przed gankiem, na żwirowanym podjeździe, chrzęszczą koła podjeżdżającego wózka; odganiając natrętne ślepaki, stukocą kopytami konie. Ruch, kroki. gwar pożegnań.

Skrzypią ciężko resory, widocznie Aneczkowa mama ładuje się teraz na wysokie siedzenie bryczki.

Potem skrzypią resory cicho, leciutko.

— Aneczko!

Gwałtowny z miejsca turkot kół. Pojechali.

Wyraźnie, och jak wyraźnie słyszę te wszystkie odgłosy, jak wyraźnie widzę ich znaczenie. Ale niepodobieństwem przecież jest w tak szczątkowym stroju pokazać się w weneckim oknie, zresztą zbyt ciężko może byłoby mi też i patrzeć...

A kiedy wreszcie nie mogę już wytrzymać i podbiegam do tego szerokiego na pół ściany okna, daleko za bramą widać było tylko tuman siwego kurzu.

Zbigniew Kowalski

Dlaczego broń żywi

W czasie gawęd myśliwskich, jak i na samych polowaniach, słyszy się nieraz narzekania kolegów myśliwych, że broń żywi, co w gwarze myśliwskiej oznacza, że celnie nawet oddawane strzały nie zawsze powodują natychmiastowe porażenie zwierza, lecz jedynie jego chwilowe oszołomienie. W skutkach doprowadza to nieraz do utraty pewnej, zdawałoby się, zdobyczy.

O przyczynach takiego żywienia, których powodem może być niedostateczne pokrycie, za słaba penetracja śrucin lub wreszcie wadliwe celowanie,



wskutek którego zwierz pada porażony tylko bocznymi śrutami, mówić nie będziemy, gdyż ich usunięcie jest bardzo proste. Strzelajmy z dobrej broni i celujmy jak się należy, a wypadków żywienia mieć nie będziemy i uchronimy się od rozgoryczeń i zniechęceń, które towarzyszą tego rodzaju wypadkom, a co najważniejsze będziemy w zupełnym porządku w stosunku do etyki łowieckiej i humanitaryzmu.

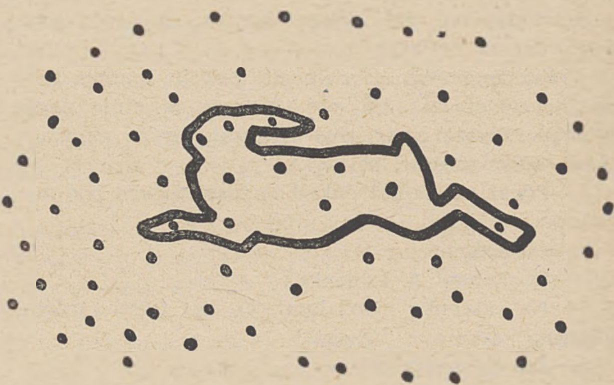
Nie ma jednak reguł bez wyjątku, gdyż czasami trafiają się bronie, które żywią z zupełnie innych powodów. W czasie swej praktyki myśliwskiej przekonałem się o tym dwukrotnie, polując za każdym razem z inną bronią, z których każda, próbowana do tarczy, dawała doskonałe rezultaty nie tylko pod względem gęstości pokrycia, ale także i siły uderzenia, czyli tak zwanej penetracji, którą wypróbowałem przez ustawienie odpowiedniej liczby tekturek. Jedna z tych broni, która należała do kategorii wysokogatunkowych, dawała mi takie rezultaty, że na 26 zestrzelonych kaczek podniosłem tylko dwie. Każdy myśliwy, czytający te wywody, wydedukuje sobie, że strzały nie były widocznie celnie oddawane, i że przyczyna musiała leżeć bądź to w złym przykładzie broni, bądź też w trafieniu zwierza bocznymi śrutami. Tymczasem tak nie było, gdyż kilku innych, bardzo dobrych strzelców, otrzymywało z broni tej podobne rezultaty, przy czym wszyscy skonstatowali że przy strzałach do celu nieruchomego broń strzela doskonale.

Zaciekawiony przyczyną tego niesamowitego dla mnie zjawiska, zacząłem sprawę badać i po przeprowadzeniu pewnych prób, jak i po przestudiowaniu paru dzieł z dziedziny balistyki, przyszedłem do przekonania, że przyczyną żywienia w broniach dających do tarczy dobre pokrycie, jak i dobrą penetrację, nie jest nic innego, jak tylko długość snopa śrucin, który formuje się w powietrzu po wyjściu z lufy. Im większa jest bowiem odległość w locie między pierwszymi i ostatnimi śrucinami, wyrzuconymi przez eksplozję naboju, tym mniej śrucin trafia do ruchomego, idącego bokiem do strzelca celu, gdyż ostatnie śruciny będą zawsze padały daleko do tyłu. Im szybszy jest bieg lub lot strzelanej sztuki i im wolniejszy jest pęd pocisku śrutowego, tym większe będą zachodziły różnice i tym mniejsza pewność natychmiastowego porażenia zwierza.

Jeżeli oddamy strzał do celu nieruchomego z broni, dającej dobre pokrycie, to znajdziemy w nim wszystkie śruciny umieszczone dokoła celu (patrz rysunek nr 1), jeżeli natomiast oddamy ten strzał do celu ruchomego w postaci szybko poruszającej się taśmy papieru, to rozmieszczenie śrucin nie będzie koliste, lecz owalne (patrz rysunek nr 2), przy czym utrwalony na ruchomej taśmie owal będzie stale się powiększał w miarę zwiększania się długości snopa śrucin, uformowanego po wystrzale, jak i szybkości poruszającego się celu.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że szybkość śrucin po przebyciu 35 metrów wynosi od 200 do 240 metrów na sekundę, a anormalna długość snopa śrucin wynosi od 4 metrów i dochodzi nieraz do 8 metrów, to przyjmując dla okrągłości szybkość pocisku na 200 metrów i szybkość zwierza na 20 metrów na sekundę, stwierdzimy wówczas że ostatnie śruciny przychodzą do celu z opóźnieniem 1/50 sekundy przy snopie czterometrowym i z opóźnieniem 1/25 sekundy przy snopie 8 metrowym.

Rezultat takiego opóźnienia powoduje, że normalne pokrycie w nieruchomej tarczy 75-centymetrowej (patrz rysunek nr 1) zmieni zasadniczo swój obraz w ruchomej taśmie i utrzymując normalną wysokość pokrycia w kierunku pionowym, rozciągnie je w kierunku poziomym w pierwszym wypadku o 0,4 metra, w drugim zaś o 0,8 metra (patrz rysunek nr 2), czyli że rozszerzy ją przeszło dwukrotnie.



Jeżeli szybkość ruchomego celu, jak np. napędzonych kur z wiatrem, zwiększymy do 30 metrów na sekundę, to przy snopie długości 4 metrów tarcza pokrycia rozszerzy się o 0,6 metra, a przy snopie 8-metrowym rozszerzenie to dojdzie do 1,2 metra i stanowić będzie owal o wysokości 0,75 metra i długości 1,95 metra, czyli prawie trzykrotnie dłuższy niż w tarczy na rysunku nr 1.

Takim stanem rzeczy usprawiedliwić należy zjawisko znane wielu myśliwym, że po strzałach oddanych do stada kur czy kaczek, pędzących z dużą szybkością, spada nie tylko sztuka, będąca przedmiotem celu, ale

i jej towarzyszka, która szła za nią w tej samej linii w 2 lub 3-metrowej odległości.

W powyższych obliczeniach przyjęliśmy do kalkulacji dystans, na który próbuje się bronie do tarczy. Jeżeli jednak przyjmiemy pod uwagę, że dobre bronie kładą zwierza trupem nawet i na 50 metrów, to strzały oddawane na takim dystansie z broni o zbyt wydłużonym snopie śrucin przy znacznym już zmniejszeniu ich szybkości, dadzą tak horendalny rozrzut w kierunku poziomym, że trafienie zwierza, idącego bokiem do strzału, staje się w ogóle problematyczne.

O ile w podanych powyżej rysunkach rozrzutu obliczymy liczbę śrucin, trafiających do właściwego celu, to będzie dla wszystkich rzeczą oczywistą, że prawdopodobieństwo natychmiastowego porażenia zwierza będzie stale malało w miarę rozciągania się długości snopa śrucin, formującego się po wystrzale, a także w miarę powiększania się dystansu i szybkości poruszającego się celu.

Jakkolwiek moje powyższe wywody nie są może całkowicie ścisłe i mogłyby być skorygowane przez bardziej dokładne, matematyczne wyliczenia, to jednakże śmiem twierdzić, iż żywienie broni, dających do tarczy dobre pokrycie i dobrą penetrację, pochodzi jedynie z przyczyny opisanej powyżej.

Badaniu tej sprawy poświęciłem kiedyś sporo czasu i dlatego też polecam wszystkim kolegom myśliwym, których bronie dobrze strzelają do tarczy, a pomimo to żywią, by starali się przede wszystkim zbadać czy przyczyna ich udręki nie leży w niedostatecznym pokryciu lub wadliwym przykładzie. Gdy stwierdzone będzie, że te okoliczności nie zachodzą, należy przystąpić do prób, mających na celu skrócenie snopa śrucin. Próby te prowadzić trzeba w różnych kierunkach, poczynając od zmiany gatunku prochu, przybitek, spłonki i łusek, a kończąc na dawkowaniu prochu i śrutu, i ich wzajemnego stosunku.

Przyczyna omawianego zjawiska tkwi bądź to w nieprawidłowym borowaniu luf, bądź też — co najczęściej się zdarza — w doborze nieodpowiedniego dla danego borowania naboju. Dobry strzał uzyskujemy bowiem tylko wówczas, gdy wszystko w broni jest skoordynowane i gdy eksplozja prochu natrafia na właściwy opór wyrzucanego pocisku. Gdy opór ten będzie za duży lub za mały, efekt strzału będzie stał zawsze pod znakiem zapytania.

Sprawdzenia długości snopa śrucin, wyrzuconego przez broń, dokonać można najlepiej przez strzały oddawane do szerokiej taśmy papieru, ktora poruszać się musi ze znaną nam szybkością.

Im większa jest ta szybkość i bardziej dostosowana do lotu ptaka lub biegu zwierza, tym prędzej dojdziemy do rozwiązania interesującego nas zagadnienia. Dla dokonania odpowiedniej próby można użyć specjalnie skonstruowanego kołowrotka lub też posługiwać się odpowiednią, obciążoną taśmą papieru, opuszczaną na ziemię ze znaczniejszej wysokości.

Najpewniejszą jednak próbą będą strzały do papierowej taśmy, holowanej przez samochód, gdyż możemy ją powtarzać kilkakrotnie, zmieniając za każdym razem szybkość maszyny. Zamiast prób ze strzelaniem do taśmy papieru można też przeprowadzić doświadczenia ze strzałami na wodę na odleglejszych dystansach, przy których to doświadczeniach należy liczyć czas między upadkiem pierwszych i ostatnich śrucin, i porównywać go z tym samym okresem czasu z broni, pracującej bez zarzutu.

Powtarzając wielokrotnie próby ze strzałami do taśmy papieru lub ze strzałami na wodę z odpowiednio zmienianymi nabojami i notując skrzętnie otrzymane rezultaty, dochodzimy bardzo często do naboju właściwego, dającego zamierzone rezultaty.

*

* *

Powyższe wskazówki i rady, oparte na doświadczeniach praktycznych i przesłankach naukowych, podajemy jedynie do wiadomości naszych kolegów myśliwych w charakterze lekarza kórego celem jest usunięcie chorobliwych objawów niektórych naszych broni.

Dla osób natomiast, które zawodowo trudnią się kłusownictwem, i którym ze względów zrozumiałych trudno będzie przeprowadzić cały szereg powyżej omawianych zabiegów i wyliczeń aptekarskich, pozwalam sobie przypomnieć rady pewnego znachora, umieszczone przed 50 laty w Kalendarzu Polikarpa Pypcia, który wszystkim strzelcom posiadającym żywiące bronie, polecał ich przestrzelenie żmiją, co miało powodować nadzwyczajną ostrość strzału, po którym każdy zwierz pada jak rażony piorunem. Próbę przestrzelenia należy robić tylko po zachodzie słońca, bacznie obserwując, by gad czasem nie ukąsił.

W swojej praktyce myśliwskiej z młodocianych czasów poleciłem ten środek dwukrotnie osobiście mi znanym kłusownikom. Skutek w obydwóch wypadkach był zawsze natychmiastowy, stuprocentowy i niezawodny, gdyż bronie ich żywić i w ogóle strzelać przestały.

A. Śliwiński



JANUSZ DOMANIEWSKI

Krzyżówka*)

Anas platyrhynchos Linn

SYNONIMY ŁACIŃSKIE. **Anas boschas Linn, Anas boschas auc., Anas monacha Scop, Anas archiboschas Brehm, Anas subboschas Brehm, Anas conboschas Brehm.**

SYNONIMY POLSKIE. Kaczka pospolita, Kaczka nieroznakwa, Kaczka wielka, Kaczka dzika, Kaczka wielguska, Kaczka wielkocha, Kaczka szarka, Kaczka burka, Kaczka krzyźnia.

NAZWY W JĘZYKACH OBCYCH. Ang.: Mallard, franc.: Canard sauvage, niem.: Stockente, Wildente, Spiegelente, ros.: Kriakwa.

CECHY ROZPOZNAWCZE. Lusterko fioletowo-niebieskie o silnym metalicznym połysku. Samiec w szacie zimowo-wiosennej ma głowę i górną część szyi świetnie metalicznie połyskujące, barwy zielonej, lub, gdy promienie światła padają pod innym kątem — fioletowo-szafirowej.

OPIS. Dziób mniej więcej długości głowy, równa się też długości skoku lub jest odeń nieco dłuższy. Wysokość nasady dzioba nieco większa od jego szerokości. Następnie jednak dziób jest silnie spłaszczony, na całej długości jednakowo szeroki. **Stary samiec w upierzeniu godowym (zima i wiosna).** Głowa i górna część szyi ciemnozielone z silnym metalicznym połyskiem, zmieniającym barwę na fioletowo-szafirową przy odpowiednim nastawieniu do światła. Ta barwa szyi ograniczona jest od dołu przez białą obrączkę przerwaną z tyłu. Dolna część szyi — poniżej opaski, wole i pierś kasztanowato-rdzawe. Barwa ta przechodzi stopniowo w białawo-szarą barwę dolnej części piersi i brzucha. Na tym białawo-szarym tle występuje ciemniejsze subtelne falowanie, najwydatniejsze na bokach ciała. Plecy czarniawo-brunatne z jaśniejszymi obrzeżeniami piór. Barkówki jasno-popielate z domieszką barwy rdzawej na bokach, subtelnie ciemniejszą barwą falowane. Skrzydła popielato-szare z lusterkiem fioletowo-niebieskim. Od przodu i od tyłu, lusterko obrzeżone jest podwójnie: paskiem czarnym i białym. Sterówki szare, biało brzeżyste. Kuper i pokrywy nadogonowe czarne ze słabym zielonym połyskiem. Cztery środkowe pokrywy nadogonowe skręcone w górę w wydatny loczek. Pokrywy podogonowe również czarne. Tęczówki brunatne. Dziób oliwkowy z ciemniejszym paznokciem. Nogi pomarańczowo-czerwone. **Stary samiec w upierzeniu letnim.** Podobny do samicy, tylko ciemniejszy. **Stara samica.** Podgardle płowe. Od nasady dzioba przez oko ciemna smuga. Skrzydła ciemniejsze z brunatnym odcieniem i lusterkiem takim samym jak u samca. Sterówki brunatne, rudawo obrzeżone. Pozostałe upierzenie czarniawo-brunatno-rudawo-pstre. Pstrocizna ta powstaje w ten sposób, że poszczególne pióra są pośrodku czarniawo-brunatne, brzegi zaś mają rudawe, względnie rudawo-płowe. Spód ciała ma pstrociznę drobniejszą i jaśniejszą niż płaszcz. Dziób brunatny po bokach żółtawy. Nogi brudno pomarańczowe. **Ptak młody.** Podobny do samicy. Wymiary: długość skrzydła 23 — 30 cm, ogona 77 — 97 mm, dzioba 44 — 56 mm. **Pisklę puchowe** ma boki głowy i cały spód ciała bladożółtawe. Wierzch ciała i pręga przez oko oliwkowo-brunatne. **Jaja** bladooliwkowe z odcieniem szarawym, zielonawym lub żółtawym. Wymiary jaj: 50—62,5 × 37 — 44,5. Ilość jaj w zniesieniu: 8 — 14.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE. Szeroko rozmieszczona na całej półkuli północnej. W kierunku północnym gnieździ się miejscami po koło polarne, w kierunku południowym — mniej więcej po 30° szer. półn. Tam, gdzie ma wody niezamarzające, zimuje, z innych okolic odlatuje na wody niezamarzające. Niektórzy ornitologowie odróżniają parę podgatunków krzyżówki. Jednak możliwość wyodrębniania tych podgatunków jest bardzo wątpliwa, za wyjątkiem bodaj podgatunku grenlandzkiego — **Anas platyrhynchos conboschas.**

WYSTĘPOWANIE W POLSCE. Wszędzie na odpowiednich terenach pospolita i ze wszystkich kaczek najliczniejsza. W miarę zamarzania wód odlatuje. Pewna ilość zimuje jednak na niezamarzających wodach.

TRYB ŻYCIA. Gdy tylko w pierwsze wiosenne dni słońce silniej zacznie przygrzewać, a na wodach wśród lodu ukażą się otwarte przestrzenie toni, już na błękicie nieba rysują się pierwsze sznury krzyżówek.

W czasie tym wszędzie i o każdej porze dnia widzieć je można. Nic dziwnego. Nie wszystkie wody jeszcze odtajały. Tylko tu i ówdzie, w polach czy też w pobliżu rzek, stojących pod lodem, znajduje się trochę otwartej wody. Nieraz kaczki przelecieć muszą dużą przestrzeń, nim znajdą zbawczą kałużę lub odtajałe nieco jeziorko, gdzie i wypluskać się mogą swobodnie i jaki taki pokarm znaleźć.

Toteż pierwsi przybysze biedę cierpią. Dokucza im głód, chłód i myśliwy, dybiący na piękne pióra kaczora. A skryć się nie ma gdzie. Na polach, łąkach i bagnach śnieg leży, do wiosennych traw jeszcze daleko. Dobrze jeszcze tym, które natrafią na niezamarzające zimą oparzeliska i przyłączą się do stadka, które tam zimę przetrwać zdołało.

Pierwsze krzyżówki pojawiają się u nas w początkach marca — zależnie od wiosny, to parę dni wcześniej, to parę dni później. Te pierwsze ich awangardy lecą zwykle bardzo wysoko, co bezwątpienia stoi w ścisłym związku z dużymi przestrzeniami, jakie zmuszone są one przebywać między wolnymi od lodu zbiornikami wody.

W czasie tym krzyżówki nie gardzą żadnym zbiornikiem wody. Zapadają nie tylko na rzekach, jeziorach, stawach i sadzawkach, ale nawet na rowach i kałużach, tworzących się w miarę roztopów na łąkach i niżej położonych polach ornych. Tylko na środku wielkich zbiorników wodnych widuje się je rzadko.

Latają krzyżówki znakomicie, a szybkość ich lotu gdy wzbiją się w górę i wezmą już należyty rozpęd, jest ogromna. Lecąc wyciąga krzyżówka głowę i szyję ku przodowi, rozciąga skrzydła szeroko i porusza nimi bardzo szybko. Ruchy skrzydeł są jednak niewielkie. Niemniej jednak są one bardzo silne, tak, że końce lotek, uderzając o powietrze, wywołują charakterystyczny świst, który, gdy krzyżówki lecą niezbyt wysoko, doskonale słyszeć się daje. Świst ten porównać można do szybko powtarzanych dźwięków wich-wich-wich.

Wzbiwszy się w górę stado krzyżówek ustawia się w określony ordynek, a to mianowicie w klucz lub szyk skośny. Ustawianie się w ten lub inny szyk następuje w miarę trwania lotu tak, że krzyżówki, w przelotach mniejszych odległości, lecą bezładnie.

Dzięki wyciągniętej ku przodowi sylwetce oraz wskutek szybkiego poruszania skrzydłami, krzyżówka wygląda w locie tak, jakby się gdzieś ogromnie śpieszyła. Wrażenie to jest słuszne, bowiem lecące krzyżówki wydobywają z siebie maksimum szybkości, a lecą zawsze po linii prostej. Zmieniają kierunek, gdy się czymś spłoszą, a i wówczas, gdy zamierzając opaść na wodę, lustrują podejrzany teren i okrążają go. Wówczas też stado traci szyk i leci bezładnie jakkolwiek w skupieniu. Wtedy też okazuje się, jak zwrotną jest w locie krzyżówka i jak małe może zataczać łuki i w najszybszym locie — zmieniać nagle kierunek.

Zdecydowawszy się usiąść, krzyżówka opuszcza się na wodę po linii pochyłej, hamując szybkość lotu przez wyraźne zapadanie z boku na bok, nie wpływające jednak na zmianę kierunku. W ostatniej chwili, tuż nad wodą, wznosi zwykle nagle głowę szyję i pierś do góry i, machnąwszy w tej pozycji dwa-trzy razy skrzydłami, opada na wodę nogami i tylną częścią ciała. Podobną pozycję przybiera, wzlatując z wody. Dobrowolnie zrywając się z wody, wznosi się stopniowo w górę po linii

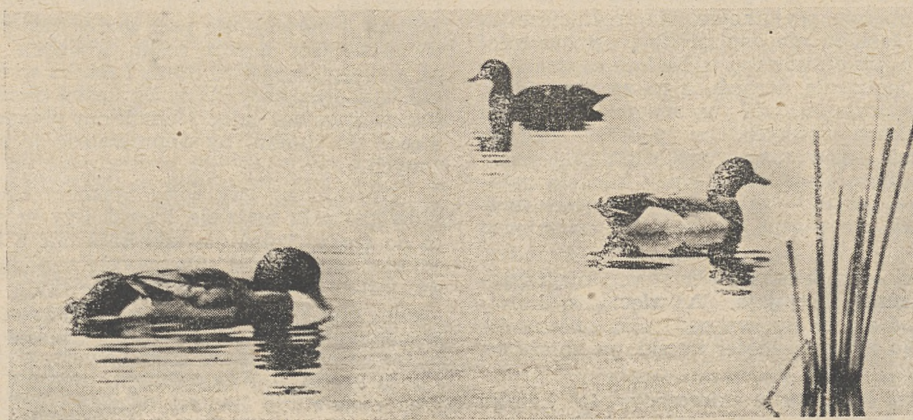
*) Wyjątek z monografii „Ptaków Łownych Europy", która niebawem wydana będzie przez Polski Związek Łowiecki. (Przyp. Red.)

pochyłej. Nagle spłoszona wznosi się do pewnej wysokości prawie prostopadle, wtenczas szczególnie, gdy nieprzyjaciel zaskoczy ją na jakimś małym, zarośniętym przy brzegach, jeziorku. Oczywiście stara się w ten sposób uniknąć nadmiernego zbliżenia do zarośniętych brzegów, co przy wzlatywaniu skośnym byłoby nieuniknione.

Koniec wiosennego przelotu krzyżówek daje się zauważyć dość łatwo. Na pozór tak samo stada kręcą się i przelatują z miejsca na miejsce, uważny obserwator widzi jednak zmianę. Przede wszystkim więc kaczek jest mniej, bo odleciały osobniki, gnieżdżące się dalej na północy. Następnie daje się zauważyć pewne uspokojenie w przelotach. Duże stada zaczynają znikać, rozbijają się bowiem stopniowo na co raz to mniejsze, aż w końcu i najmniejsze rozpraszają się ostatecznie. Krzyżówki poszły w pary. Gdy leci taka para, to pierwsza zawsze leci kaczka, za nią zaś kaczor.

den drugiego chwyta za łeb lub szyję, szczypie i tarmosi. Obydwaj machają przy tym gwałownie skrzydłami, starając się i utrzymać w powietrzu, i przy okazji uderzyć przeciwnika. Zmaganie się w powietrzu trwa jednak krótko. Jakkolwiek dobrze latają przeciwnicy, są jednak zbyt ciężcy na to, by wytrwać tak dłuższą chwilę. Toteż powietrzne starcia trwają zaledwie po kilkanaście sekund. Z każdą sekundą zapaśnicy opuszczają się niżej, aż wreszcie spadają na wodę lub są zmuszeni, by się nie potłuc, rozłączyć się nad ziemią.

Bójki kaczorów, szczególniej tam, gdzie kaczek jest dużo, jak np. na Polesiu, można obserwować dość często, głównie z początkiem pory godowej lub pod jej koniec. Gdy kaczki skończą składanie jaj i definitywnie oddalą się od kaczorów, te stają się bardzo podniecone, a podnieceniu temu towarzyszv zwiększona zadzierżystość, która przy lada okazji — okazją jest naturalnie zawsze kaczka — wywołuje bójki.



Krzyżowki *fot. W. Puchalski*

Okres przelotów skończył się ostatecznie. Krzyżówki przechodzą teraz do drugiego okresu swego dorocznego życia — do okresu gniazdowania. W pierwsze dni tego okresu, gdy kaczka nie zasiądzie jeszcze na jajach, łatwe są krzyżówki do obserwowania. Lubią one teraz siadywać na otwartej wodzie lub na niezarośniętych brzegach — wygrzewać się na słońcu. Są teraz łatwiejsze do podejścia niż wczesną wiosną, w czasie przelotów. Nie znaczy to jednak, by utraciły całkowicie wrodzoną sobie ostrożność lub, by tak jak latem, dały się podchodzić na kilka kroków.

Każda para obiera sobie jakiś rejon, w którym stale już się trzyma, i w którym samica zakłada gniazdo. Ani w budowie gniazda, ani w wysiadywaniu i wychowaniu młodych, samiec nie przyjmuje żadnego udziału.

Prawdopodobnie każda para wraca co roku do tych samych miejsc gniazdowania, a przynajmniej czyni to kaczka. Zapewne bowiem pary łączą się tylko na jeden okres godowy. Zaznaczyć też trzeba, że kaczor nie dochowuje wierności małżeńskiej i łamie ją przy każdej sposobności.

W miarę budowy gniazda i składania jaj, kaczka oddala się co raz częściej od kaczora. Wykorzystuje w tym celu każdą chwilę jego nieuwagi. Wystarczy, by kaczor się zdrzemnął lub zbyt gorliwie zajął się zaspakajaniem swego apetytu, znika mu ona z oczu i leci bądź to gniazdo budować, bądź to, gdy gniazdo już skończone, jajo złożyć.

Jeśli nieobecność kaczki przedłuża się zbytnio, kaczor nie zawsze poprzestaje na oczekiwaniu. Gdy cierpliwość jego wyczerpie się, oddala się z miejsca, w którym nastąpiła rozłąka i, bądź to pływając po wodzie, bądź latając, wypatruje małżonki. Jeśli w czasie tych poszukiwań napotka inną kaczkę, to bez wahania puszcza się do niej w zaloty. Gdy teraz zjawi się prawy małżonek, następuje bójka, która, zależnie od okoliczności, ma miejsce na lądzie, na wodzie lub w powietrzu. Ta ostatnia jest najbardziej interesująca. Zawzięci rywale zatrzymują się naprzeciwko siebie w powietrzu, przy czym przyjmują pozycję prawie prostopadłą. Je-

Po pewnym czasie godzą się jednak kaczory ze swym losem. A odznaką tej rezygnacji jest łączenie się ich w stadka po kilka, a nawet po kilkanaście sztuk liczące. Stadka te są jednak związane bardzo luźno i tworzą się raczej przypadkowo.

Gdy kaczki zasiądą na jajach, rozpoczyna się w życiu krzyżówek kilkutygodniowy, najspokojniejszy okres życia w roku.. Najspokojniejszy w tym znaczeniu, że są one w tym czasie najmniej ruchliwe, latają bardzo mało i rzadko dają się widywać. Kaczory zaczynają się pierzyć. I jakkolwiek pierzeniu ulegają tylko pióra konturowe, sterówki i lotki nie są bowiem w tym czasie zamienne, tak że kaczory przez cały ten okres mogą latać, to jednak latają bardzo mało. Cały okres pierzenia spędzają zaszyte w trawy i szuwary; nawet na odkrytych wodach pokazują się rzadko.

Gdy dla kaczorów, po wiosennych godach, następuje czas spoczynku, dla kaczek przeciwnie — nastaje okres pełen trosk i trudów — okres wysiadywania i wychowywania młodych.

Mało jest ptaków, budujących gniazda w tak różnorodnych warunkach, jak krzyżówka. Najczęściej, co prawda, zakłada kaczka gniazdo w bezpośrednim sąsiedztwie wody, a więc na brzegu w trawie, w nadbrzeżnych zaroślach, gdzieś pod olchą, w trzcinach, na wystającej z moczaru kępie itp. Znajduje się jednak gniazda krzyżówki i w zupełnie suchym lesie, w zbożu, na stogach siana, w dziuplach starych drzew, a nawet w wierzchołkach drzew. Tam jednak kaczki nie wiją gniazd same, lecz zajmują opuszczone gniazda wron lub ptaków drapieżnych.

Jeśli gniazdo znajduje się na ziemi, to jest ono dość starannie usłane z najrozmaitszego materiału roślinnego, głównie z trawy i trzciny. Wnętrze gniazda wysłane jest najdelikatniejszymi trawkami, piórkami i puchem. Im więcej jest jaj w gnieździe, tym więcej znajduje się w nim puchu.

Jeśli wiosna jest wczesna, to krzyżówki zaczynają się nieść w końcu marca, zwykle jednak pierwsze jaja znajduje się w początkach kwietnia. Pełne zniesienia składają się z 12 — 16 jaj. Jaja są barwy oliwkowej,

oliwkowo szarej, oliwkowo zielonawej lub oliwkowo żółtawej. Odcienie tych barw mało różnią się między sobą i po części zależne są od wysiadywania: im bliżej wyklucia się piskląt, tym odcień oliwkowy lub zielonawy staje się mniej wyraźny, natomiast zaczyna dominować odcień szary. W niektórych zniesieniach jaja są zupełnie bez połysku, w innych mają słaby połysk.

Wysiadywanie jaj trwa 23 do 29 dni. Długość tego okresu zależna jest od pogody, z drugiej zaś strony od tego, jak często kaczka schodzi z gniazda.

Na jajach kaczka siedzi dość mocno i uporczywie. W razie zbliżania się niebezpieczeństwa, porzuca je dopiero w ostatniej chwili. Dobrowolnie opuszcza gniazdo tylko raz na dobę, by gdzieś w pobliżu pożywić się nieco.

Okres wysiadywania jest najniebezpieczniejszy dla całości lęgu. Zdarza się niekiedy, że kaczor, rozdrażniony długą nieobecnością kaczki, w poszukiwaniu jej, znajdzie gniazdo, zburzy je i potłucze jaja. Są to jednak wypadki zupełnie wyjątkowe. Najgroźniejsze są zmiany pogody. Jeśli ta nie dopisze, to często w całej okolicy wszystkie lub prawie wszystkie lęgi są stracone. Powodują to długotrwałe deszcze, a co za nimi idzie, podniesienie się poziomu wód w rzekach, jeziorach i innych zbiornikach wodnych, w pobliżu których gnieżdżą się kaczki. Wówczas wszystkie gniazda, położone w bezpośrednim sąsiedztwie wody, ulegają zalaniu. Jak później — latem — zgubne są dla kaczek nadmierne susze, tak na wiosnę zgubną jest nadmierna ilość wody.

Poza tą żywiołową klęską, cały szereg nieprzyjaciół czyha na kaczkę i jej jaja. A więc: lis, kuna, tchórz łasica. Zaś z ptaków: wrona, sroka i błotniaki, które, korzystając z nieobecności kaczki na gnieździe, wyjadają jaja.

Jeśli pierwszy ląg zostaje zniszczony, to kaczka niesie się po raz drugi. W drugim zniesieniu bywa jaj mniej zwykle około 10.

Wreszcie, gdy wszystko ułożyło się szczęśliwie, pisklęta zaczynają się wykluwać. Już w kilka godzin po opuszczeniu jaj są zdolne w dużym stopniu do samodzielnego życia. Toteż, gdy trochę obeschną, matka prowadzi je do wody. Ale jak przedostają się kaczęta na wodę z gniazd, położonych wysoko na drzewach? Otóż jedni badacze twierdzą, że matka znosi je stamtąd przy pomocy dzioba, inni, że skaczą po prostu na ziemię.

Krzyżówka jest idealną matką. Jak było wyżej powiedziane, zaraz po wylęnięciu, prowadzi swe dzieci na wodę. Te są od razu rzeźkie, ruchliwe i wykazują dużo temperamentu. Nie zdoła im to jednak zastąpić doświadczenia. Cieniutko piszcząc, poruszają się zabawnie i podążają za matką. Kaczka idzie bardzo powoli, co chwila się zatrzymuje i wyciąga w górę, aby łatwiej ogarnąć wzrokiem całość swej gromadki, której ciągle pomoc jej jest potrzebna.

Oto jedna niezdarna wlazła pod nachyloną gałązkę jakiegoś krzewu i nie może się spod niej wydobyć, drugie maleństwo wpadło w dołek i piszczy w nim żałośnie. Matka zawraca ostrożnie, by nie podeptać zdążającej za nią gromadki, i delikatnie, przy pomocy dzioba, ratuje z opresji swe pociechy.

Wreszcie całe towarzystwo jest już nad wodą. Stara włazi do wody i cichutko wabi swe dzieci. Te po chwili wahania podążają za nią. I dopiero tu na wodzie widać, w jak wysokim stopniu kaczęta są zaradne i samodzielne. Nie tylko pływają one i nurkują nad podziw dobrze, ale również, naśladując matkę, wyszukują sobie pożywienie wśród roślinności wodnej i mułu dennego. Toteż z wyżywieniem dzieci kaczka nie ma zbyt wiele kłopotu. Główna jej troska polega na ochranianiu ich przed niebezpieczeństwami, które grożą im zarówno na wodzie, jak i na ziemi. Albowiem kaczka często wyprowadza na brzeg swe pisklęta, szczególnie gdy trochę podrosną. Niekiedy oddala się z nimi dość daleko od wody. Tutaj zaś czyhają na nie i ptaki drapieżne i czworonogi, między którymi koty i włóczące się z pastuchami psy główną graja rolę.

Głównym sposobem, stosowanym przez kaczkę w celu uniknięcia przykrych niespodzianek, jest krycie się w trawach i zaroślach nadwodnych. Prawie nigdy nie pokazuje się ona ze swym stadkiem na wodzie otwartej. Zawsze trzyma się w gąszczach.

W razie niebezpieczeństwa, grożącego jej dzieciom, poświęca się bez wahania. Zwraca uwagę wroga na siebie i odciąga go od miejsca, gdzie małe są ukryte. Udaje więc ranną, niedołężną i, tłukąc się niezgrabnie po wodzie, pokazuje się na miejscach otwartych. W takiej chwili nie ma nic łatwiejszego, jak ją zastrzelić Nieopatrznie jednak czyni myśliwy-kłusownik, który zabija zbyt wcześnie starą kaczkę, sądząc, że tym łatwiej będzie mógł później dobrać się do młodych, gdy te podrosną. Młode kaczęta, jakkolwiek zdolne do samodzielnego żerowania, nie mają jednak doświadczenia w wyszukiwaniu miejsc obfitujących w pokarm. Toteż nie dojadają, rosną powoli i wycieńczone stają się nieodporne na zmiany klimatu i wszelkie niebezpieczeństwa, nie mówiąc już o tym że nie ma ich kto przed tymi niebezpieczeństwami ostrzegać i chronić.

Na ostrzegający głos matki, w czasie gdy ta ucieka i odciąga nieprzyjaciela, młode kaczęta natychmiast milkną i chowają się pod wodę. Następnie kierują się w największy gąszcz roślin wodnych i tutaj czekają aż niebezpieczeństwo minie i matka wróci do nich. Ona zaś, stwierdziwszy, że wróg został oszukany i nie jest już groźny, nurkując i chyłkiem płynąc przez zarośla, wraca do stadka, by odprowadzić je z miejsc zagrożonych.

Gorzej jest, gdy wróg zaskoczy stadko na brzegu. Wówczas cała nadzieja kacząt leży w szybkiej ucieczce do wody. Toteż nie zwlekają one z tym ani chwili. Podczas gdy matka swą zwykłą metodą oszukuje wroga, młode wyciągają nogi i zmykają co sił. W tym swoim pośpiechu wyglądają bardzo komicznie. Główki wyciągnięte ku przodowi, szyjki opierające się niemal o trawę, a za nimi baryłkowate ciałka, popychane z tyłu krótkimi, niezgrabnymi nóżkami. W tej pozycji, rzec można nie biegną, a raczej pełzają, pomagając sobie rozstawionymi na boki skrzydełkami. Posuwają się jednak stosunkowo szybko, starając się jak najprędzej dostać się do zbawczej wody.

Woda jest przez długi czas najlepszym ratunkiem młodych kaczek. Latać bowiem zaczynają dopiero w sześć tygodni po urodzeniu. Z tym jednak idzie im znacznie gorzej niż w pierwszych dniach życia z chodzeniem i pływaniem. Zupełnie lotne stają się dopiero po 7 — 8 tygodniach. Początkowo zdolne są przelecieć zaledwie kilka lub kilkanaście metrów i to bardzo niezdarnie. Jednym rzutem oka można ocenić z jak wielką przychodzi im to trudnością. Machają bezładnie skrzydłami, tłukąc nimi po wodzie i zaroślach wodnych Za każdym takim „kłapaczem" zwisa z tyłu ciężki kuperek. Po kilku dniach prób, latanie idzie lepiej. Jednak dość długo jeszcze młode kaczki, nie dowierzając skrzydłom, szukają ratunku raczej pod wodą, nurkując i chowając się następnie w zaroślach wodnych. Zmuszone do lotu, nie odlatują daleko, lecz zapadają znowu, bądź to na wodę, bądź nawet na brzeg. W tym czasie niepokojone na wodzie przez myśliwych i psy, wychodzą nawet pieszo na ląd i tam przywarowują w trawach i zaroślach nadbrzeżnych. Nie raz w ten sposób uda się im ujść niedoświadczonemu myśliwemu, który zrozumieć nie może gdzie podziało się stadko, zauważone przed chwilą na wodzie.

Wreszcie z począkiem lipca latać zaczynają już zupełnie dobrze i spłoszone odlatują mniej lub więcej daleko. Upływa jeszcze tydzień i w locie nie można ich już odróżnić od starych. Teraz kończą się kłopoty wychowawcze starki. Wywodki trzymają się jednak w dalszym ciągu razem i stanowią niejako ośrodki, koło których skupiają się niedobitki innych wywodków. Późną jesienią stadka takie łączą się z sobą, tworząc niekiedy rzesze złożone z tysięcy osobników.

Na razie jednak a to mianowicie przez lato, nie zbierają sie krzyżówki licznie. Trzymają się tylko wywodkami. Często też spotyka się i pojedyńcze osobniki, które są przeważnie samcami.

Latem, żerując na błotku, stadko rozłazi się dość szeroko, tak, że często gdy jedna — dwie sztuki zerwą się, pozostałe siedzą w dalszym ciągu, zatajone w trzcinach, trawach i szuwarach. W ogóle w lipcu kaczki niechętnie zrywają się do lotu. Zaszyte w gęstwinach, dosiadują twardo i zrywają się dopiero w ostateczności.

Powoli stają się coraz ostrożniejsze, tak, że w sierpniu nie dotrzymują już tak dobrze, szczególniej tam, gdzie są często niepokojone. We wrześniu stają się już bardzo ostrożne.

Zaznaczyć jednak trzeba że w okolicach, obfitujących w rozległe jeziora, zbieranie się krzyżówek w stada, można obserwować już pod koniec lata, to znaczy w czasie, gdy kaczki zaczynają regularnie wieczorem i rano swoje przeloty, zwane też przez myśliwych złotami. Te przeloty mają miejsce i w okolicach ubogich w wody i moczary, tam jednak z powodu małej ilości kaczek, biorących w nich udział, nie rzucają się tak w oczy.

Istota przelotów polega na tym, że kaczki pod koniec lata nie spędzają nocy w tych miejscach, w ktorych przebywają we dnie. Z nastaniem zmroku zrywają się i lecą na żerowiska, leżące czy to na innych jeziorach, czy błotach czy też w polach, gdze obfitość ziarna dojrzewających zbóż zapewnia im pokarm w dowolnej ilości. Rano zaś wracają. W okolicach nadmorskich, krzyżówki bardzo chętnie spędzają dnie na morzu, a z nastaniem zmierzchu lecą w głąb lądu na jeziora, stawy, błotka czy też pola.

Ten tryb życia pędzą do późnej jesieni. W czasie, gdy mrozy zaczynają ścinać wody, krzyżówki powoli zaczynają się wynosić tam, gdzie znajdują wody niezamarzające. Zawsze jednak pewna ilość pozostaje u nas na niezamarzających oparzeliskach. Czy są to ptaki miejscowe, u nas się gnieżdżące, czy też osobniki bardziej północne, przylatujące do nas na zimowiska? Nie jest to na razie wiadome. Z czasem zostanie niewątpliwie wyjaśnione przy pomocy metody obrączkowania.

Ulubionymi miejscami pobytu krzyżówki są stojace wody słodkie. Spokojne, ciche jeziorka, zarośnięte po brzegach szuwarem, podobnie zarośnięte starorzecza, stawy bogate w lasy trzcin — oto jej środowisko. Specjalnie lubi ona bardzo wolno płynące rzeki, bramowane u brzegów ścianami trzcin i sitowia, rzeki tworzące liczne łachy, starorzecza i rozlewy, przechodzące nieznacznie w rozległe mokre łąki i moczary. Tam trzyma się stale i licznie, tym liczniej naturalnie im większe przestrzenie tereny te zajmują. Toteż Polesie, mające taki właśnie krajobraz, urozmaicony przy tym jeziorami, jest wprawdziwym rajem krzyżówek.

Występuje jednak krzyżówka i na wodach niewielkich. Gnieździ się nawet i na zupełnie odosobnionych wśród pól jeziorkach. Dwa jednak warunki dla jej bytowania są nieodzowne: gęste zarośla nadwodne, oraz pewne przestrzenie odkrytej wody, wśród tych zarośli położone. Szybko płynących rzek i jezior o dnie piaszczystym i skąpej roślinności unika i jeśli się tu zatrzymuje, to tylko chwilowo, najczęściej w czasie wiosennych i jesiennych wędrówek.

Ze wszystkich naszych kaczek, krzyżówka jest bodaj najostrożniejsza. Na otwartych wodnych przestrzeniach uchodzi już na odległości kilkuset kroków; na mniejszych wodach dopuszcza człowieka bliżej, zawsze jednak, o ile ma widok odsłonięty, zrywa się poza donośnością strzału śrutowego. Latem tylko zmienia się pod tym względem zupełnie. Wówczas ukryta w szuwarach czy trawach, zrywa się do lotu dopiero w ostateczności, często na kilka kroków od człowieka.

Ostrożność krzyżówki pozostaje zresztą w prostym stosunku do spokoju jaki panuje w danej miejscowości.

Krzyżówka nurkuje doskonale. W wieku dojrzałym nurkuje jednak rzadko. Pod wodą szuka schronienia głównie przed ptakiem drapieżnym, któremu znika z oczu w jednej chwili. Również pod wodą szuka schronienia, gdy jest zbarczona. Każdy myśliwy wie o tym dobrze, iż ranną kaczkę, gdy padnie na wodę w pobliżu gęstych traw wodnych i zarośli trzcinowych, rzadko kiedy udaje się odszukać. Upłynąwszy pod wodą pewną przestrzeń, ginie w zaroślach. Nawet na otwartej wodzie o brzegach bez zarośli trzcinowych, potrafi sobie poradzić. Podpływa mianowicie nurkiem do brzegu, wystawia tutaj na powierzchnię tyle tylko dzioba, ile trzeba do oddychania, sama zaś pozostaje niewidoczna. Kiedyindziej znów, jeśli brzeg porośnięty jest trawą, chyłkiem wyłazi z wody i kryje się w tej trawie, podczas gdy myśliwy napróżno poszukuje jej na wodzie.

Pod względem pożywienia krzyżówka jest bardzo niewybredna i rzec można zjada niemal wszystko, co napotka na żerowisku, a przełknąć zdoła. Jest przy tym ogromnie żarłoczna: od zmierzchu do świtu żeruje bez ustanku, objadając się do ostatecznych granic. Tam, gdzie nie jest niepokojona, żeruje również i w dzień.

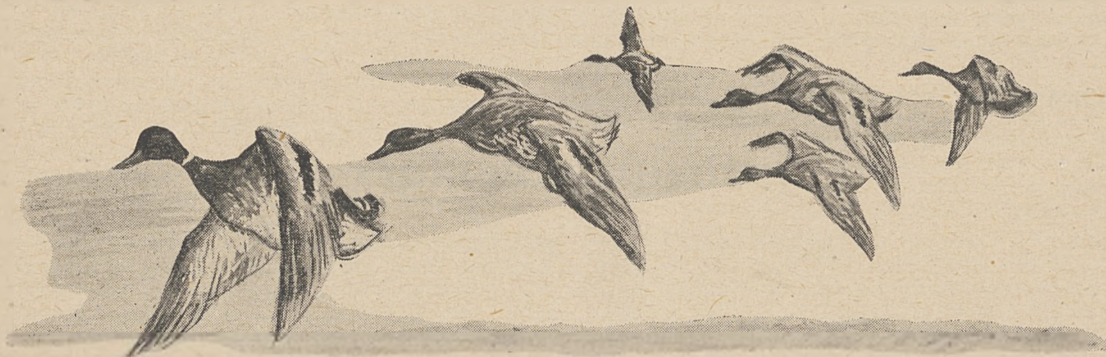
Trudno jest szczegółowo wyliczyć to wszystko, co stanowi normalne pożywienie krzyżówki. Trawy, liście i korzonki roślin wodnych, ich pączki, kwiaty i owoce, nasiona zbóż uprawnych, owady, robaki, małe rybki, kijanki, mięczaki — oto główna podstawa jej jadłospisu. Z mulistego dna wody odcedza drobne zwierzątka, najmniejsze odpadki roślinne.

Głosy wydawane przez krzyżówkę nie są zbyt urozmaicone. Na ogół przypominają one głosy kaczki domowej, której krzyżówka jest protoplastką. Krzyżówka wydaje jednak tony nieco wyższe i bardziej czyste. Nagle spłoszona, zrywając się do lotu, wydaje oderwany, głośny dźwięk „kwa-ak". lub „kweeg". Wysoko lecące stadko nawołuje się niskimi, często powtarzanymi tonami „geggegegegeg". Radość czy też zadowolenie oznajmia dźwiękami „wek... wek... wek". Najczęściej jednak słyszy się dźwięki „waak... waak... waak" kilkakrotnie po sobie powtarzane. Przy tym najwyższy i najdonioślejszy jest dźwięk pierwszy, następne są coraz to niższe, mniej doniosłe i zarazem mniej przeciągłe. W całości, razem wzięte, dźwięki te tworzą niezbyt długo brzmiące, a bardzo miłe dla naszego ucha hasło, którego pierwsze tony są bardzo donośne, a ostatnie z pewnego oddalenia zaledwie dają się odróżnić. Latem w pogodne wieczory i noce na błotach i jeziorach często słyszeć można kaczki w ten właśnie sposób odzywające się. Wówczas też słyszeć można i wyżej wspomniane „wek... wek... wek".

Młode kaczęta nie kwakają, a piszczą cieniutkimi głosikami. Nawołująca je starka wydaje dźwięk kwaak lub waak, w rozmaitych tonach powtarzany.

Niezależnie od powyższych, samce wydają na wiosnę specjalne głosy. Te są bardzo trudne do oddania. Do pewnego stopnia są one podobne do sylab reb... reb... reb lub reib... reib... reib, chrapliwym głosem powtarzanych. Niekiedy słyszeć można samca odzywającego się fihb lub fihb... fib. Lecąc za samicą wydaje samiec syczący głuchy dźwięk bżyk... bżyk... bżyk.

Janusz Domaniewski.



HENRYK ZAPOLSKI DOWNAR

Samolotem na wilki

Ciekawe opisy polowania, które z myśliwska, analogicznie do polowania „z podjazdu“, możnaby nazwać „z podlotu“, spotykamy w rosyjskim czasopiśmie „Cgoniok“.

W okolicach, gdzie ilość wilków stanowi plagę, organizowane są polowania. Polowania takie odbywają się zazwyczaj, jak i u nas, z naganką, przy równoczesnym użyciu flader. Natomiast na przestrzeniach otwartych, stepowych, używa się do polowania samolotów. Poluje się w zimie, kiedy z powodu pokrywy śnieżnej widoczność z samolotu jest lepsza, a wskutek otwartego terenu wilki nie mają możności ukrycia się.

Do dwuosobowego, małego samolotu, zaopatrzonego zamiast kół w płozy, wsiadają pilot i myśliwy. Lecąc niewysoko wypatrują wilków... wreszcie daleko spostrzegają kilka ciemnych punktów. Doświadczony myśliwy poznaje wilki po charakterystycznej, masywnej sylwetce o krótkiej szyi. Wilków jest kilka sztuk. Samolot zniża lot i zaczyna ścigać je. Przestraszone wilki zmykają co sił, lecz samolot jest szybszy i dogania je. Myśliwy wychyla się, celuje, strzela. Pudło! Wskutek znacznie większej szybkości samolotu niż wilka, loftki trafiają w śnieg przed wilkiem. Wilki rozpraszają się. Samolot zawraca i goni najdalej uciekającego zwierza. Tym razem myśliwy celuje nie przed wilkiem lub w wilka, lecz za nim. Strzał. Wilk pada w ogniu. Pilot zawraca i dogania jednego z następnych. I ten zostaje zastrzelony. Pilot znów dogania dwa ostatnie wilki, uciekające razem. Myśliwy strzela dubletem. Jeden pada w miejscu, drugi raniony uchodzi. Pilot jeszcze raz zawraca, myśliwy dobija wilka. Polowanie skończone.

Wypatrzywszy dogodne miejsce pilot ląduje. Znoszenie wilków do samolotu i załadowanie zabiera kilka godzin czasu, więcej aniżeli samo ubicie wilków, które trwało niecałe pół godziny. Zapada zmrok. Samolot wraca na swe tymczasowe lotnisko. Jutro znów na polowanie.

Henryk Zapolski Downar



Na kaczkach *fot. S. Rozwadowski*

JÓZEF STADNICKI

Jastrząb gołębiarz

W każdym łowisku, w którym zamierzona jest racjonalna hodowla zwierzyny, zwłaszcza drobnej, wyłania się problem odstrzału szkodników. Spośród zwierząt drapieżnych niektóre tylko znalazły w praktyce łowieckiej swoje właściwe miejsce, tzn. uważane są równocześnie za cenną zdobycz myśliwską, a nawet bywają głównym celem polowania i zdobycie ich jest szczytem pragnień myśliwego. O atrakcyjności zwierza stanowią różne czynniki, wśród nich główną rolę odgrywa stopień trudu upolowania. Dlatego gruby zwierz, który jest w Polsce rzadziej rozmieszczony od zwierzyny drobnej i kryje się w bardziej niedostępnych terenach, stanowi dla myśliwego większą przyjemność i większą wartość.

Oprócz trudu zdobycia, ważnym czynnikiem, decydującym o atrakcyjności gatunku zwierzyny pod względem łowieckim, jest pożyteczność lub szkodliwość danego zwierza. Dlatego dla myśliwego-hodowcy podwójną radość z upolowanego np. wilka, lisa, kuny lub dzika daje świadomość, że celnym strzałem usunął rabusia, siejącego zniszczenie w łowisku lub szkodliwego dla okolicznych pól uprawnych.

Przytoczone powyżej uwagi są uznawane i przyjęte przez większość myśliwych, lecz poza wyliczonymi gatunkami zwierząt drapieżnych są i inne, które wśród wielu myśliwych nie znalazły jeszcze **właściwego miejsca.** Dziś chcę wspomnieć o jednym szkodniku, na pozór dobrze znanym wszystkim myśliwym i wyróżniającym się dużym rozgłosem wśród naszych ptaków drapieżnych, a mianowicie o **jastrzębiu gołębiarzu.** Znany to rabuś na terenie całego naszego kraju. Ilość gołębiarzy nie jest mniejsza niż lisów, a drapieżność ich znacznie większa. Lis nieraz przez całe tygodnie zadowoli się wyłącznie myszami,przez co bywa pożyteczny dla rolników, natomiast gołębiarz żywi się tylko ptakami pożytecznymi i drobną zwierzyną łowną. Ofiarą jego szponów padają: zające, bażanty, kuropatwy, jarząbki, gołębie i pożyteczne sowy. Mimo obecności jastrzębia w łowisku mało się wie o jego istnieniu. W porównaniu z lisem ma jastrząb w „walce" z człowiekiem znacznie lepsze szanse, gdyż po ponowie nie da się otropić, a obstawiony w miocie może zawsze wyśrubować się w powietrze i uniknąć strzału. Swoją przebiegłością przewyższa on nieraz lisa. Jest więc bardzo trudny do upolowania i niezmiernie szkodliwy. Wynikało by z tego, że będzie specjalnie poszukiwaną zdobyczą przez myśliwych. Jeżeli wartość łowną lisa przeliczamy na 10 zajęcy, to ile liczymy za strzelonego na polowaniu gołębiarza? Niestety, w praktyce wielu myśliwych nie docenia polowania na tego bardzo atrakcyjnego ptaka. Czyżby w tym wypadku miało miejsce zniechęcenie wobec zbyt wielkich trudności i obawa przed porażką w tej „walce"? Warto jednak się potrudzić, gdyż upolowanie jastrzębia daje wielką satysfakcję myśliwską.

Człowiekowi, obcującemu dużo z przyrodą, zdarza się często przypadkowe spotkanie z jastrzębiem i wtedy zastrzelenie go może nie przedstawiać żadnej sztuki. Nie licząc na przypadkowe spotkania można i na jastrzębia polować metodycznie. Aby polowanie to miało widoki powodzenia, konieczne jest dla myśliwego dokładne poznanie życia gołębiarza, jego zwyczajów i metod łowienia zdobyczy, a wtedy łatwo znaleźć sposoby i stworzyć sobie system polowania. Na lisa można polować różnymi sposobami (z naganką, na wabia, z jamnikiem, na zasadzce, podjazdem lub podchodem), podobnie i na gołębiarza można obierać różne metody, w zależności od pory roku, ukształtowania terenu, ilości strzelb i innych warunków zewnętrznych.

Bywają myśliwi, którzy pod pojęciem „jastrząb" zamieszczają i inne ptaki drapieżne: jak myszołowy (Buteo), różne orliki (Aquila), kanie (Milvus), błotniaki (Circus) oraz sokoły i sokoliki (Falco), z których większość podlega ochronie, gdyż są ptakami pożytecznymi. Przeto dla każdego myśliwego wskazane jest dokładne zaznajomienia się z gatunkami i odmianami ptaków drapieżnych.

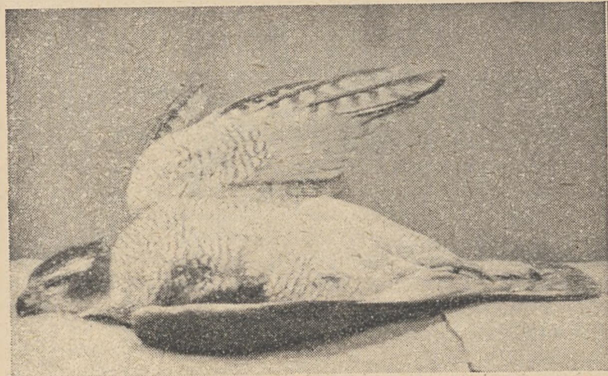
Jastrzębie, określone w Polsce mianem szkodników i nie posiadające czasu ochronnego, są z gatunków objętych (według terminologii przyrodniczej) nazwami: „Astur" i „Accipiter". Dawniej każdy z nich stanowił odrębny gatunek, rozpadający się na liczne odmiany (Astur — 30 odmian, Accipiter — 24). Według obecnej klasyfikacji stanowią one jeden gatunek. W Polsce najczęściej spotykane są: krogulec (Accipiter nisus nisus) oraz gołębiarz (Accipiter gentilis gentilis), względnie (Astur palumbarius).

Wszystkie odmiany, należące do tego gatunku, rozpoznać można łatwo po ich sylwetce w locie: krótkie stosunkowo skrzydła, długi prosty ogon. W locie są zwinne i mają wyjątkową zdolność latania w gęstwinie, nie zawadzając skrzydłami o gałęzie, co ułatwia im pościg za upatrzoną ofiarą pod zasłoną drzew, a nawet po ziemi wśród krzewów. Cechą jastrzębia jest wielka chytrość i zaciętość. Przystosowane są zasadniczo tylko do życia w lesie, lecz często w pościgu za łupem, wpadają w swym zacietrzewieniu nawet do zabudowań ludzkich. U wszystkich jastrzębi samice są znacznie większe niż samce.

Krogulec jest miniaturą gołębiarza (długość od głowy do ogona 26 do 38 cm). Wierzchem koloru burego (popielato-brązowy), spodem popielaty (biały w drobne prążki ciemne, biegnące w poprzek ciała). Końce skrzydeł w pozycji siedzącej sięgają ledwie połowy ogona. Żywi się głównie wróblami oraz drobnymi ptakami śpiewającymi. Zwierzynie łownej prawie szkód nie wyrządza, lecz jest niszczycielem ptaków pożytecznych, dlatego zasługuje na odstrzał.

W niektórych okolicach Polski istnieje wśród ludu przekonanie, że krogulec zamienia się na lato w kukułkę. Powiedzenie to tłumaczyć można tym, że istotnie zachodzi pewne podobieństwo pomiędzy ubarwieniem, a nawet i lotem kukułki i krogulca. Niewprawny myśliwy łatwiej mógłby pomylić krogulca z sokolikiem pustułką (Falco tinnunculus). Pomyłki takie są niedopuszczalne, gdyż pustułka jest bardzo pożytecznym ptakiem, najłatwiej rozpoznać ją po sposobie latania, gdyż pustułka zawisa w powietrzu, trzepocąc w miejscu skrzydłami; łowi myszy, gady oraz owady. Ubarwiona jest wierzchem rdzawo o czarnych końcach lotek, ogon długi.

Opis **jastrzębia gołębiarza:** rozpiętość skrzydeł 93 do 119 cm, długość (głowa — ogon) 48 — 66 cm, długość ogona 23 — 29 cm. Skrzydła w pozycji siedzącej sięgają ledwo do połowy ogona. Najdłuższa jest 4 lotka (u sokołów 22 lotka jest najdłuższa), dziób mocno rozwinięty, ostro zagięty w dół. Łapy opierzone do połowy, tzn. do zgięcia, szpony duże (znacznie większe niż u myszołowów), palce koloru żółtego.



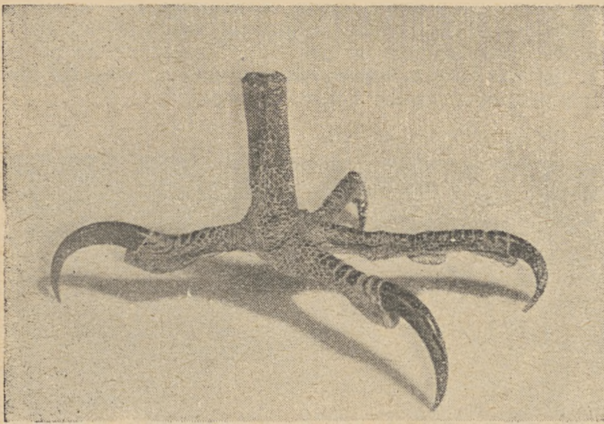
Jastrząb gołębiarz

Z podanych wymiarów mniejsze dotyczą samców, większe — samic. Upierzenie starego gołębiarza jest zupełnie różne od młodego (do roku). Młode mają wierzch (plecy, ogon i skrzydła górą) brunatne o rdzawych brzegach piórek, spód (piersi, brzuch i wewnętrzna strona skrzydeł) są barwy gliny z ciemnobrązowymi „języczkami" na każdym piórku. Tęczówka w oku młodego jastrzębia jest jasnożółta, u starszego przechodzi w kolor pomarańczowo-żółty. (Dla porównania podaję, że oczy wszystkich sokołów są zawsze ciemnobrązowe). Upierzenie starego gołębiarza jest wierzchem ciemnopopielate, z lekkim odcieniem brunatnym, spodem białe, w czarne, drobne prążki poprzeczne. Pióra ogonowe posiadają 5 ciemniejszych pręgów oraz białe zakończenie.

Charakterystyczna jest sylwetka siedzącego gołębiarza. Nie siada on nigdy na wierzchołkach drzew jak np. myszołowy ani na gałęziach chwiejących się, lecz zawsze na mocnych konarach, przy samym pniu, zwykle w połowie wysokości drzewa. Siedzi nieruchomo, zupełnie pionowo. Spłaszczona głowa odcina się mało od tułowia z powodu krótkiej szyi. Kształt ciała ma linię wybitnie opływową, zwężającą się stopniowo ku ogonowi, którego długość zaznacza się szczególnie w pozycji siedzącej. W locie zachowuje gołębiarz wielką równowagę, spokój i zdecydowanie. Widząc człowieka, rzadko zboczy z raz obranego kierunku lotu. Sam lot szybki, energiczny. Przy spokojnych przelotach następuje zawsze kilka szybkich uderzeń skrzydłami, po

czym kilka sekund lotu o nieruchomo wyprostowanych skrzydłach i znów na przemian. Mimo swej zwinności w powietrzu jest ptakiem ciężkim i lata mało, zazwyczaj nisko, zawsze z celem przeniesienia się w obrane z góry miejsce. Poluje czatując na dobrze obranych stanowiskach o rozległym polu widzenia, odwiedza często te same miejsca. Rzadziej krąży wysoko w powietrzu, zataczając małe koła; czyni to raczej z konieczności, kiedy brak mu odpowiedniego stanowiska, z którego mógłby obserwować i skutecznie atakować spodziewaną zdobycz.

Gołębiarz żywi się wszystkimi ssakami i ptakami, jakie tylko chwycić potrafi. Mimo stosunkowo krótkich skrzydeł posiada wielką siłę nośną i tak np. samica potrafi wznieść się w powietrze z upolowanym bażantem. Z kurą domową lub nawet z zającem potrafi frunąć nisko, wlokąc zdobycz po ziemi; zazwyczaj jednak pożera na miejscu. Goniąc upatrzoną ofiarę, gołębiarz jest niesłychanie wytrwały. Uderzając z powietrza na latające gołębie, stara się odbić jedną sztukę od stada, po czym rozpoczyna pościg, który trwa nieraz parę minut. Uciekający ptak stara się wybić w powietrze ponad prześladowcę, gdyż gołębiarz jest cięższy i nie posiada tej szybkości wznoszenia się; lecąc po poziomej lub nieco z góry zbliża się szybko do ofiary i w powietrzu łapie w szpony; gołąb wyrywa mu się nieraz kilkakrotnie, lecz z każdą chwilą jest słabszy, a często pokaleczony i gołębiarz, zmęczywszy ofiarę — zwycięża. Niesie wtedy złapanego ptaka w pazurach do zacisznego miejsca, najchętniej zadrzewionego. Jeżeli zdobycz stara się wyrwać — widać często jak jastrząb w locie poprawia chwyt, daleko jednak nie leci (200 do 400 m), po czym siada zawsze na ziemi (orlik krzykliwy i sokoły zjadają zdobycz na drzewie).



Szpony gołębiarza

Polując na dzikie kaczki, gołębiarz nie łapie ich w powietrzu, lecz dogoniwszy uderza szponami od dołu, w okolicy klatki piersiowej i ptak śmiertelnie raniony spada, a jastrząb natychmiast siada na nim do uczty. Dobija ptaka, dzieląc mu kręgi u nasady czaszki, po czym oddziela całą głowę od reszty i posiłek zaczyna od wyjedzenia mózgu wraz z kośćiami czaszki; głowę gołębia i mniejszych ptaków łyka wraz z pierzem i dziobem. Następnie, a czasem jeszcze przed urwaniem głowy, bierze się do oskubania zabitego ptaka. Zaczyna od skrzydeł, wyrywając pojedynczo lotki, po czym usuwa większe pierze na piersi i plecach i zaraz zaczyna ucztę. Poczynając od szyi zjada całość wraz z kośćmi i pozostałym pierzem. Jeżeli miejsce jest niedogodne, przenosi się o kilkadziesiąt kroków dalej.

Niepokojony stara się zawsze unieść zdobycz ze sobą, jeżeli mu się to nie uda, powraca za kilka minut.

Zupełnie inna jest metoda łowienia ptaków przez sokoły, które względem swojej ofiary posiadają jakby uczucia rycerskie, a mianowicie, uderzając w powietrzu, jeżeli nie pochwycą zdobyczy za pierwszym razem, dają za wygraną i ataków nie ponawiają, jeżeli zaś uciekający ptak siądzie na ziemi — zupełnie go poniechają. Powodem jest zapewne obawa przed zbyt mocnym uderzeniem o ziemię lub o gałęź w gęstwinie. Gołębiarz zupełnie się tym nie zraża, goni swą zdobycz wśród zarośli, nawet po ziemi. Przypłaca to czasem życiem. Słyszałem o wypadku znalezienia nieżywego jastrzębia, rozpiętego na krzaku tarniny i trzymającego w szponach również nieżywego zająca. Widocznie jastrząb, zaplątawszy się w tej walce w gałęzie, miał szpony zbyt mocno wbite w ofiarę, która też nie miała już dość sił, by się oswobodzić i padła. Zaznaczyć należy, że u wszystkich drapieżnych ptaków jest taka budowa anatomiczna, że kiedy nogę prostują i wyprężają, to pazury automatycznie zaciskają się.

Człowiekowi najłatwiej podejść gołębiarza podczas jego borykania się z upatrzoną lub już złowioną ofiarą. Siedzącego na czatach również można często podejść blisko, a jeszcze łatwiej podjechać koniem z tym, że nie wolno zbliżać się wprost do niego, lecz trzeba posuwać się ukośnie, jakby mijając go bokiem.

Polując na gołębiarza, najważniejszą sprawą jest wyszukanie go, gdyż nie wystarczy zdać się na przypadkowe spotkania. Przede wszystkim należy stwierdzić czy gołębiarz jest w okolicy. Mało miarodajne będzie tu zdanie straży leśnej, gdyż dla niezainteresowanego specjalnie człowieka gołębiarz potrafi zachować wszelkie pozory swej nieobecności. Jak wspomnieliśmy, nie lubi on krążyć w powietrzu ani siadać na widocznych miejscach, nie jest hałaśliwy, nie zrywa się, gdy człowiek bez złych zamiarów przechodzi nawet bezpośrednio pod nim, a jeżeli się zerwie, to prawie bezszelestnie odlatuje. Przeto rozpytując usłyszymy zwykle zdanie, że jastrząb trafia się w obchodzie raz na parę tygodni, ale stałych nie widać. Znacznie więcej zaczerpniemy informacji w domach, stojących blisko lasu i u chłopców, którzy hodują gołębie. Od takich informatorów dowiemy się też w jakim kierunku rabuś zwykle unosi swą zdobycz. Tam należy się udać, a na pewno spotkamy ślady zbrodni w postaci kręgów z pierza, które wiatr stopniowo roznosi. Kury domowe chwyta gołębiarz tylko wówczas, gdy jest przyciśnięty głodem, najczęściej podczas bezśnieżnej zimy, gdyż wtedy ma utrudnione polowanie. Po gołębie przychodzi jastrząb często regularnie o tej samej porze, dlatego nierzadko przynosi powodzenie zasadzka w podwórzu i równoczesne zmuszanie gołębi do latania, celem przywabienia rabusia. W takich okolicznościach trafiają się piękne i efektowne strzały.

Myśliwemu, idącemu do lasu w poszukiwaniu jastrzębia, przychodzą z pomocą różni skrzydlaci mieszkańcy lasów, jak wrony, sroki, sójki, kosy i inne, które najlepiej wskazują jego obecność, a nawet miejsce ukrycia. Jeżeli gołębiarz jest w okolicy wron — wykazują one wyraźne zaniepokojenie. Na wierzchołkach wyższych drzew rozstawiają swoje czaty, które z wielkim zdenerwowaniem obserwują teren, nawołując się ostrzegawczym krakaniem. W chwili zauważenia przelatującego drapieżnika zrywają się wszystkie z przeraźliwym krakaniem i ścigają groźnego wroga, atakując ostro; jeżeli zauważą gdzie siądzie, krążąc z wrzaskiem, nie dają mu spokoju, szczególnie przeszkadzają mu, gdy pochwyci zdobycz. Gołębiarz stara się ukryć przed swymi prześladowcami, i jeżeli mu się to uda, znowu rozstawiają czaty w obrębie, gdzie może się znajdować. Wtedy pomocne są wrony myśliwemu, gdyż w razie spłoszenia jastrzębia, pokażą natychmiast jego następne miejsce schronienia. Gołębiarz jest bardzo sprytny; poszukiwany lub już raz strzelany staje się bardzo ostrożny i wymyśla coraz to nowe „fortele", aby ujść niebezpieczeństwu. Poruszając się po lesie lata pomiędzy koronami drzew, a prawie nigdy nad wierzchołkami. Przelatując przez pole, między zagajnikami, leci parę metrów nad ziemią, a dla uniknięcia wzroku człowieka wykorzystuje wspaniale falistość terenu i drobne zarośla. Zdarza się, że chcąc przelecieć z jednego zagajnika do drugiego zrobi okrężną drogę, nadkładając cały kilometr — tylko w celu zmylenia uwagi myśliwego.

Spłoszony w lesie gołębiarz nie odlatuje daleko, zwykle 100 m do 300 m. Jest to okoliczność, ułatwiająca odszukanie go. Natomiast stosuje on inny manewr celem „oderwania się" od podchodzącego go myśliwego, mianowicie nie frunie prosto, lecz zatacza łuk, a często obleci wokół i siada z tyłu za posuwającym się w przód człowiekiem. Parokrotnie płoszony zrywa się daleko, nie dopuszczając myśliwego na odległość strzału. Dlatego najlepszym sposobem jest polowanie we

dwie lub trzy strzelby. Wtedy jeden myśliwy podchodzi jastrzębia przez las, spełniając jednocześnie rolę naganki, a pozostali obstawiają miot. Przy tego rodzaju polowaniu decydującym jest wybór stanowiska. Gołębiarz, podobnie jak lis lub dzik, posiada swoje ulubione przesmyki (tzw. weksle). Takie miejsca przelotu wytrawny myśliwy łatwo wynajdzie, kierując się następującymi względami: gołębiarz lubi przelatywać korytarzami między koronami drzew, natomiast unika miejsc zupełnie zwartych lub zbyt otwartych. Poza tym lubi frunąć granicą między niższym a wyższym drzewostanem.

Drugim względem, jaki należy brać pod uwagę przy obieraniu stanowiska, jest wspomniany wyżej zwyczaj gołębiarzy zakreślania toru kulistego. Ciekawą rzeczą jest, że zazwyczaj każdy poszczególny osobnik zachowuje stały promień jego łuku i jego kierunek (w lewo lub w prawo), jeżeli np. pierwszy łuk zrobił w lewo, to należy się spodziewać, że przy następnym spłoszeniu będzie urzymywał kołowanie w prawo. Znając więc ten łuk oraz kierunek posuwania się podchodzącego myśliwego, możemy w przybliżeniu określić miejsce przelotu przez linię, drogę lub ścieżkę, na której stoimy. Poza tym należy przewidzieć „wagę" ptaka, tzn. kierunek, w którym będzie się chciał udać po spłoszeniu. Jastrząb najedzony kryje się w centrum lasu, w ostępy spokojne, często siada w gęstym młodniku, natomiast poszukujący zdobyczy siada zazwyczaj na brzegu lasu lub w kępach drzew między polami. Stanowiska należy obierać daleko od miejsca, gdzie siedzi jastrząb, aby nie mógł domyślać się tam obecności człowieka. Stać bardzo spokojnie i cicho, gdyż ptak siedzący na drzewie widzi dalej i słyszy lepiej niż każdy zwierz, idący po ziemi. Podchodzący myśliwy powinien, w razie spłoszenia, wskazać kolegom w jakim kierunku ptak leci, o ile nie zastąpią go w tym wrony, „prowadzące" jastrzębia. Jeżeli zobaczy się kierunek jego odlotu, należy szybko obstawić go powtórnie, aż nadleci na wygodny strzał. Przez pole leci gołębiarz zawsze po linii prostej, przeto jeżeli siedzi w odosobnionej kępie drzew, należy stanowiska obierać w ścianie najbliższego lasu lub poza sąsiednią kępą, lecz zachodzić tak, aby jastrząb nie widział dochodzącego do stanowiska myśliwego, gdyż wtedy nigdy w tym kierunku nie poleci.

Dla podchodzącego myśliwego praktyczna jest broń kulowa, choćby małokalibrowa, aby móc skutecznie strzelać na odległość 100 m. Wskazane jest strzelanie w locie grubszym śrutem, zajęczym, gdyż drobny śrut jest niewystarczający.

Najodpowiedniejszą porą dnia do polowania na gołębiarza jest ranek i wieczór; ptak jest wtedy ruchliwy i łatwo go znaleźć. Nocuje on często w tych samych miejscach w lesie. Przelatuje tam wieczorem po zachodzie słońca, prawie zawsze tą samą drogą. Można więc zasiąść na linii jego przelotu i czekać do zmierzchu. Jeżeli miejsce jego wlotu do lasu jest znane dokładnie. najlepiej czatować około 100 m w głębi lasu, gdzie na chwilę przysiada na drzewie, a w każdym razie lot jego w lesie jest znacznie wolniejszy i strzał łatwiejszy.

Ciekawe jest także polowanie z puchaczem. Myśliwy ukrywa się w ścianie lasu lub w specjalnie zbudowanej budce, a puchacza sadza się w polu w widocznym miejscu na kołku. Jastrząb zwykle zaatakuje go. Można połączyć też polowanie z puchaczem z metodą napędzania, a mianowicie podczas zasadzki przy puchaczu posłać chłopca, aby znajdującego się w okolicy jastrzębia płoszył w tę stronę. Szanse upolowania zwiększają się wtedy znacznie, ponieważ jastrząb, siedzący daleko, nie zawsze przyjdzie do puchacza, natomiast przelatujący opodal na pewno skusi się zaatakować. Nadlatującego jastrzębia puchacz pokazuje, srożąc się w jego kierunku, a czasem nawet zeskakując z kołka na ziemię, w celu wygodniejszej obrony; daje to myśliwemu czas na przygotowanie się do szybkiego strzału.

Zbarczonego jastrzębia powinno się natychmiast dostrzelić, gdyż na nogach potrafi on bardzo szybko uciekać i w lesie łatwo go stracić. Chwytając postrzelonego należy zachowywać się ostrożnie, aby nie pokaleczył szponami. W tym celu przydeptuje się uprzednio jego nogi, po czym można swobodnie wziąć ptaka w ręce, trzymając jak gołębia. Opisuję to dlatego, że lekko postrzelonego, np. zlotkowanego gołębiarza, można oswoić jak puchacza i używać do polowania na wrony i sroki, które, zoczywszy go na kołku, atakują równie ostro. Ma to tę dobrą stronę, że o puchacza do polowania jest w Polsce trudno. Starego jastrzębia oswoić nie jest łatwo, dlatego znacznie lepiej w tym celu wybrać młodego z gniazda.

Na jastrzębia gołębiarza wolno polować cały rok, ze względu na jego wielką szkodliwość. Każda pora roku daje możliwości różnych sposobów polowania, w zależności od zmieniającego się trybu życia tego ptaka

W marcu i kwietniu jest okres parzenia się gołębiarzy i zakładania gniazd. W tym okresie wydają charakterystyczny głos nawoływania się. Brzmi to pośrednio między dźwiękami „ki ki ki" a „ke ke ke", a przypomina brzmieniem skrzeczenie kawek. Gołębiarze są w tym czasie bardzo ruchliwe i mniej ostrożne. Myśliwy hodowca, któremu zależy na odstrzale tych rabusiów, powinien zwrócić na nie wtedy szczególniejszą uwagę. Łatwo może udać się ładny dublet do lecących jeden za drugim ptaków.

Gniazda zakładają gołębiarze głęboko w lesie, na wysokim drzewie, w miejscach mało uczęszczanych przez człowieka. Samica składa 3 do 5 jajek białozielonkawych, rzadko nakrapianych. Czas wysiadywania — 35 dni. Młode po opuszczeniu gniazda wydają donośne, przeciągłe piszczenie: „wii wiii wjii", zwykle trzykrotne o coraz wyższym tonie. Dorastające jastrzębie są bardzo żarłoczne, toteż cały dzień łowią i przynoszą dla nich pożywienie, wyrządzając wielkie szkody w zwierzostanie.

Z końcem lata polowanie staje się znowu trudniejsze, szczególnie, że wrony wykazują już mniejsze zainteresowanie jastrzębiem, gdyż przestaje on być niebezpieczny dla ich młodych. Jesienią wszystkie ptaki drapieżne odbywają dalekie wędrówki i można je wtedy spotkać w okolicach, w których nie pokazują się w okresach lęgowych. Przed zimą, gdy liście opadną z drzew, znacznie łatwiej jest zauważyć jastrzębia niż w czasie, gdy liście tworzą wygodną zasłonę dla niego. Na białej stopie ma on polowanie znacznie ułatwione lecz również i człowiek dostrzeże jego sylwetkę na większą odległość. Na pierwszych śniegach warto się przejść ze strzelbą po łowisku w celu wyszukania gołębiarza, który wtedy często czatuje na kuropatwy, siedząc na samotnych drzewach wśród pól lub przy małych remizach.

Jastrząb gołębiarz czuje się panem terenu, na którym poluje i interesują go wszystkie odgłosy w okolicy. Nierzadko nawet słysząc strzał, przyleci sprawdzić co zaszło. Postrzelonego zająca lub ptaka natychmiast atakuje i chwyta. Przylatuje również na głos duszonego zająca lub innego zwierza, co daje myśliwemu możność polowania z wabikiem.

Również bardzo zaciekawiają gołębiarza wszystkie inne polujące drapieżniki. Często wykorzystuje on dla swoich celów lisa i razem współdziałają w polowaniu: gdy lis spłoszy na ziemi ptaka, wtedy on rozpoczyna pościg. Większość ptaków kryje się przed jastrzębiem na ziemię w zarośla, lis więc spełnia w tym wypadku dla niego rolę naganiacza i przy takim współdziałaniu dwóch rabusiów nie ma dla ofiary ratunku.

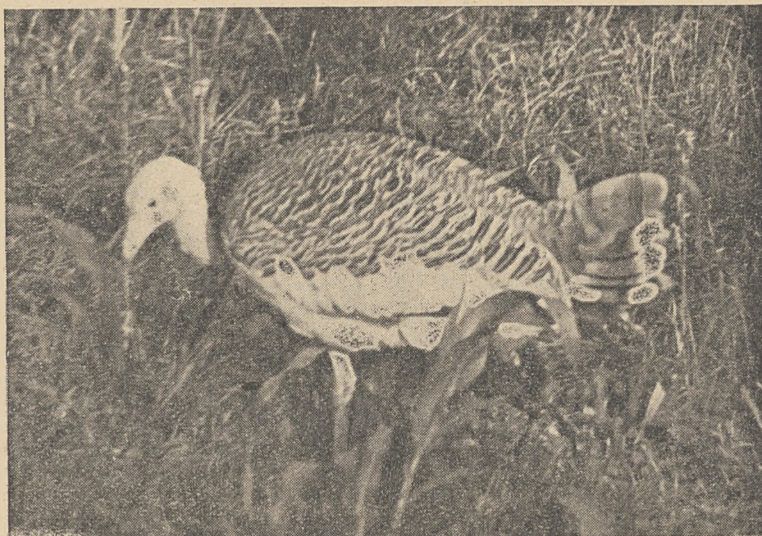
Jak wspomnieliśmy, gołębiarze rozproszone są po całym kraju, lecz nigdzie nie występują w dużym skupieniu. Dzielą się „obwodami łowieckimi" i żaden nie dopuszcza na swój teren intruzów. W wypadku zastrzelenia jednego, zjawia się na jego miejsce inny, już po paru dniach.

O wytępieniu tych jastrzębi w praktyce nie ma mowy, dlatego nie posiadają one czasu ochronnego. Myśliwy, polujący na nie, wyświadcza niemałą przysługę hodowli łowieckiej. Gołębiarz jest zwierzyną bardzo trudną do upolowania, jego wartość łowna jest wysoka, nie powinna być niższą od wartości lisa. Początkujący myśliwy, który w przeciągu np. roku potrafi zestrzelić kilka gołębiarzy — zdaje tym samym praktyczny egzamin łowiecki. Po takiej zaprawie, polowanie na innego grubszego zwierza nie będzie już sprawiało nadmiernych trudności. Może w przyszłości PZŁ wprowadzi dla nowoprzyjmowanych członków egzaminy praktyczne, a wtedy pierwsze miejsce powinno zająć upolowanie gołębiarza. **Józef Stadnicki**

Dropie w Polsce

Św Hubert wyrządza niekiedy myśliwym niespodzianki. I tak, gdy wybieramy się z dubeltówką i śrutem — zamiast spodziewanych szaraków, wychodzą z miotu dziki, a gdy jedziemy na dziki — spotykamy wręcz innego zwierza. Ilustruje to poniższa notatka.

Podczas przejazdu na polowanie na początku lutego 1948 r. z Poznania do Nadleśnictwa Lewice, po minięciu Lwówka, dostrzegliśmy, w odległości około 300 metrów od drogi, siedzące na polu stadko dużych ptaków w ilości 7 sztuk. Z daleka ptaki robiły wrażenie siedzących indyków i dopiero, gdy rzekome indory, spłoszone pojazdem, podniosły się i zaczęły biec na wysokich nogach, ciężko poruszając skrzydłami, można się było z ich kształtu, wielkości, barwy upierzenia i sposobu poruszania się zorientować bez wątpliwości, że są to dropie. Potężne wrażenie, jakie wywarły na wszystkich obecnych, wynagrodziło całkowite niepowodzenie zamierzonych w tym dniu łowów na dziki po miękkiej stopie.



Drop pospolity *fot. W. Puchalski*

Powojenne wyniszczenie zwierzostanu w Polsce, a zwłaszcza zanikanie rzadkich gatunków, nakazuje podanie powyższego faktu do wiadomości ogółu myśliwych, jak również przypomnienie wyjętych z literatury szczegółów o tym rzadkim u nas przedstawicielu avi-fauny.

Prof. W. Krawczyński w pracy pt. „Łowiectwo" podaje następujący opis tego ptaka. Drop (łac. Otis tarda) z rzędu brodzących, jest w zasadzie ptakiem stepowym. Częsty na Ukrainie, rzadziej spotykany na Wołyniu, równinach węgierskich, Rumunii i częściowo w Niemczech — u nas jest bardzo rzadki. Cytowany przez Krawczyńskiego J. Sokołowski — „Drop w Polsce" — Kraków 1931, podaje nieliczne ilości sztuk dropia, spotykanego w województwie poznańskim, białostockim i lubelskim.

Wspaniały to ptak, zarówno ze względu na wielkość, jak i wygląd. Waga dorosłych kogutów dochodzi do 18 kg, długość do 1 metra, rozpiętość skrzydeł do 2 metrów 20 cm, nogi wysokości 20 cm. Upierzenie tułowia na grzbiecie brązowe, głowa i szyja popielate, spód biały. Wierzch tułowia poprzecznie falisto zarysowany czarnymi prążkami („dropiaty").

Samce w okresie tokowania zdobi długa broda, złożona z delikatnych, białych piór. Kury są o połowę mniejsze od kogutów.

Dropie żerują na zbożach i koniczynie, burakach i rzepach, karmiąc się również owadami i myszami.

W jesieni i zimie dropie żyją w stadach, które rozbijają się z końcem lutego. Tokowanie odbywa się wczesną wiosną. Krawczyński cytuje z pracy Sokołowskiego następujący opis: ...„Tokujący drop, oglądany z tyłu, wygląda chwilami jak kwitnący krzak tarniny. Efekt jest tym większy, że drop tokuje nie tylko wcześnie rano, jak np. głuszec lub cietrzew, lecz przez cały dzień, najchętniej w pełnym słońcu. Drop w czasie tokowania wygląda tak wspaniale i imponująco, że trudno w naszej przyrodzie o zjawisko bardziej niezwykłe".

Kura niesie 2 do 3 jaja, o barwie szaro-oliwkowej lub brunatno-oliwkowej z ciemniejszymi plamkami tejże barwy, w gniazdach, stanowiących „lekkie wzniesienie w rozgrzebanej ziemi, na którym podścielone jest kilka źdźbeł trawy". (M. Mniszek „Oologia ptaków łownych"). Wymiar jaj: długość 77 do 82 mm, szerokość około 54 do 62 mm. Młode wylęgają się po 23 dniach. Początkowe ich opierzenie ochronne, ze względu na kolor ziemi, jest ciemno-szare.

Drop jest ptakiem bardzo ostrożnym, z zasady trzyma się punktów, z których może obserwować daleką przestrzeń. Biega znakomicie, wzbija się ciężko.

Odmianą dropia, rzadko spotykaną w Polsce, jest strepet (Otis tetrax).

Łowy na dropie należą w obecnej chwili już do przeszłości. Od wielu lat polowanie na nie jest ustawowo zabronione. Wobec niewielkiej ich ilości powinny być — ze względów przyrodniczo-naukowych — otoczone pieczołowitą opieką. Są to rzeczy dla myśliwych zrozumiałe. Niezależnie jednak od zrozumienia sprawy przez nas samych, właściwe terenowo władze Związku i kółka łowieckie mogłyby wpływać na miejscowe społeczeństwo, by ten ginący okaz naszej fauny znalazł należyty spokój, zwłaszcza w okresie lęgowym (np. przez ochronę gniazd).

Zofia Plapis

Literatura: 1. Brehm: Życie Zwierząt, t. II, str. 652 (wydanie rosyjskie 1901 r.), 2. A. Janta Połczyński: Dropie w Wielkopolsce. — Notatka w Przeglądzie Myśliwskim i Łowiectwie Polskim, 1925, styczeń, nr 1, str. 15, 3. Wiesław Krawczyński: Łowiectwo. Warszawa, 1947 r., str. 352, 4. Jan Sokołowski: Drop (Otis tarda) w Polsce, Kraków, 1931, 5. Kalendarz myśliwski na rok 1929, str. 30, 6. Włodzimierz Korsak: Z polskiej kniei — 12 rysunków, Warszawa, 1927 r., 7. Mieczysław Mniszek Tchórznicki: „Oologia ptaków łownych", Warszawa, 1947, str: 35, 8. Encyklopedia Powszechna „Ultima Thule", Warszawa 1930, tom III, str. 150.

Pojmany orzeł

W styczniu bieżącego roku prasa krajowa doniosła o orle, który na terenie Puszczy Piskiej (Pojezierze Mazurskie) zaatakował robotnika leśnego. Robotnik ten, broniąc się, uderzył orła kijem, oszołomił go i zaniósł do leśniczówki Nadleśnictwa Wilcze Bagno. Zaatakowany, to Stanisław Olender, ze wsi Średnie Pogobie koło Piszu.

Miejscowy nadleśniczy przetrzymał orła w stodole leśniczego do czasu przybycia dyrektora lasów państwowych okręgu olsztyńskiego, który po kilku dniach przyjechał i wypuścił orła na wolność.

Orzeł ten, zwany „przedni" (Aquila chrysaetos), miał wysokość ponad 80 cm i rozpiętość skrzydeł dwa metry. Wkrótce po wypuszczeniu z dużej klatki i wyprostowaniu skrzydeł, wzleciał na pobliskie drzewo owocowe, a następnie poszybował w las Puszczy Piskiej.

Ostatnio widziano go 9 marca br. na terenie Leśnictwa Wądołek.

Załączone zdjęcie przedstawia wyżej wymienionego orła przedniego, sfotografowanego tuż po jego wypuszczeniu na wolność w dniu 11 stycznia 1949 r.

inż. Wł. Nowak



Orzeł przedni z Puszczy Piskiej
fot. W. Nowak

Ofiara na budowę domu PZŁ

Polski Związek Łowiecki otrzymał od kol. Kazimierza Świderskiego (Warszawa, ul. Nabielaka 11 m. 6) pismo następujące:

Powołując się na apel p. Andrzeja Śliwińskiego, zawarty w artykule pt. „O własną siedzibę dla zrzeszonego łowiectwa" (Łowiec Polski nr 1/2, styczeń — luty, 1949 r.), komunikuję, iż przekazałem jednocześnie na rachunek Związku w PKO kwotę **3.000 (trzy tysiące)** złotych na cel powyższy.

Przesyłam ponadto deklarację - zobowiązanie na dalsze 12 000 zł, płatne po 1.000 zł miesięcznie w ciągu roku, od czerwca br. do maja 1950 r. włącznie.

Podkreślam, iż **wyłącznym przeznaczeniem tej składki jest budowa siedziby głównej PZŁ w Warszawie.**

Darz bór! **(—) Kazimierz Świderski.**

Podając treść tego pisma do wiadomości i dziękując hojnemu ofiarodawcy, Polski Związek Łowiecki chętnie by widział naśladownictwo tej pięknej inicjatywy u innych kolegów.

Znamienna uchwała

Zwyczajne Walne zebranie członków Kółka Łowieckiego Diana w Krakowie powzięło w dniu 30 marca br. następującą uchwałę:

W dobie, gdy we wszystkich gałęziach gospodarki nurtuje prąd uspołecznienia, podpisani członkowie Kółka Łowieckiego Diana, w słusznym zrozumieniu, że również gospodarka łowiecka winna być traktowana jako odcinek gospodarki narodowej, z m i e n i a j ą treść artykułu 40 regulaminu Kółka Łowieckiego Diana, nadając mu następujące brzmienie:

„Upolowane zające stanowią — nie jak dotychczas, własność myśliwego — lecz własność Kółka, które dostarcza je po ustalonych cenach Spółdzielni Jedność Łowiecka, względnie innej do tego powołanej instytucji. Uzyskane stąd fundusze użyte będą przez Kółko na pokrycie kosztów polowań, co umożliwi ludziom pracy korzystanie ze sportu myśliwskiego.

Członkom Kółka przysługuje prawo zakupienia części upolowanych zajęcy dla własnego użytku, po cenie, jaką płaci Spółdzielnia, względnie inna powołana do tego instytucja".

Pokaz wyżłów w Sępolnie Kraińskim

Z inicjatywy Związku Kynologicznego, a staraniem Powiatowej Rady Łowieckiej na powiat Sępolno i łowczego inż. Zygmunta Piątkowskiego, przy współudziale i pomocy technicznej leśniczego, kol. Józefa Misiaka, odbył się w Sępolnie Kraińskim (Pomorze) pierwszy pokaz psów myśliwskich, wyżłów.

Ciężkie czasy okupacji hitlerowskiej dotknęły mocno pomorskie myślistwo. Zabrano wszelką broń, przyrządy do myślistwa, biblioteki myśliwskie itd, jak również naszych przyjaciół do polowania —wyżły.

Pokaz w Sępolnie zainicjował dr Jan Łukowicz, były prezes oddziału kynologicznego na Pomorzu, dłu-

goletni wiceprezes Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej i członek Naczelnej Rady Łowieckiej w Warszawie. Dr Łukowicz przejął też przewodnictwo tego pokazu, powołując do pomocy leśniczego Egona Raszkego i Kazimierza Zimnego.

Do pokazu przedstawiono 10 wyżłów, w tym 5 krótkowłosych, 4 szorstkowłose i 1 długowłosy. Ponadto przedstawiono 2 wyżełki krótkowłose, dobrze się zapowiadające, w wieku 2 i pół miesięcy oraz szczeniaka 3-miesięcznego, szorstkowłosego, prawdopodobnie po rodzicach z rodowodami, również dobrze się zapowiadającego.

PRZEDSTAWIONO PSY:

1) „Reks", pies 5 miesięcy, krótkowłosy, białonakrapiany, brązowe łaty, głowa żółtawa, 58 cm wysoki; hodowca inż. Andrzej Ramlau, właściciel nadleśniczy, ob. Zygmunt Piątkowski, zamieszkały w Lutówku.

2) „Lord", pies 6 lat, krótkowłosy, brązowy, 62 cm wysoki, hodowca nieznany; właściciel ob. Aleksy Müller, zamieszkały w Więcborku.

3) „Minka", suka 3 lata, krótkowłosa, biała, jasnobrązowa nakrapiana, grzbiet brązowy, 60 cm wysoka; właściciel ob. Ryszard Wolski, Swidwie.

4) „Lord", pies 3—4 lata, krótkowłosy, brązowy, nogi białonakrapiane, 62 cm wysoki; właściciel ob. Antoni Morek, zamieszkały w Sępolnie, ul. Kościuszki.

5) „Psiona", suka 2 lata, krótkowłosa, biała, jasnobrązowo nakrapiana, głowa brązowa, 62 cm wysoka.

6) „Reks", pies 20 miesięcy, szorstkowłosy, brązowy, 65 cm; właściciel leśniczy, ob. Pipenborn, zamieszkały w Swidwiu.

7) „Baba", suka 11 miesięcy, szorstkowłosa, dość dobra, brązowa, 65 cm wysoka; właściciel leśniczy, ob. Pipenborn, zamieszkały w Świdwiu.

8) „Pepinka", suka do 10 miesięcy, szorstkowłosa, brązowa, białe łapy, 58 cm wysoka; właściciel ob. Adamski, zamieszkały w Komierowie.

9) „Zbój", pies 10 miesięcy szorstkowłosy, białonakrapiany, brązowe łaty, 58 cm wysoki; właściciel ob. Misiak, zamieszkały w Komierowie.

10) „Graf", pies 5 lat, długowłosy, (Wachtel) brązowy, 50 cm wysoki; właściciel ob. Władysław Rakowski, zamieszkały w Rogalinie.

Inż. Z. Piątkowski
łowczy powiatowy.

Konkurs psów w Rożniatach

Oddziałowa Rada Kynologiczna w Inowrocławiu donosi że w dniach 19 i 20 września 1949 r. odbędzie się w Ośrodku Szkoleniowym Psa Myśliwskiego w Rożniatach koło Kruszwicy jesienny konkurs psów myśliwskich. Zgłoszenia psów na ten konkurs należy nadsyłać do dnia 1.IX 1949 r.

Konkurs psów ma spełnić dwa zasadnicze zadania: 1. zainteresować posiadaczy odpowiednim układaniem psów, 2) wypośrodkować dobre psy dla celów hodowlanych.

Posiadacze psów wyróżnionych na konkursie otrzymają wysokie nagrody.

Sprawozdanie Rady Łowieckiej Powiatu Leszno
za okres od marca 1948 r. do marca 1949 r.

W okresie sprawozdawczym utworzono bibliotekę łowiecką, częściowo oprawiając składające się na nią książki polskie i obcojęzyczne, kalendarze, jednodniówki, czasopisma i ulotki.

Na korzystnych warunkach wydzierżawiono strzelnicę kulowo-śrutową, położoną na terenie Nadleśnictwa Leszno i Leśnictwa Karczma Borowa. Zakupiono część materiałów budowlanych na projektowane na terenie strzelnicy postawienie krytego trzciną, otwartego szałasu. Na strzelnicy tej przeprowadzono latem 1948 r. dwukrotne strzelanie śrutowe i małokalibrowe, przy licznym udziale członków i ich rodzin oraz przedstawicieli sąsiednich powiatów.

Na pięciu zebraniach rady powiatowej oraz jednym zwyczajnym i dwóch nadzwyczajnych walnych zgromadzeniach, informowano członków o komunikatach Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, przeprowadzono dyskusje fachowe oraz wysłuchano dwóch referatów, wygłoszonych przez łowczego.

Z okazji 25 rocznicy istnienia PZŁ urządzono w połączeniu z obchodem św. Huberta w Lesznie „poranek myśliwsko-przyrodniczy", na którego program złożyło się przemówienie starosty Bunikiewicza, deklamacje, koncert, występy chóru, przedstawienie i referat łowczego na temat ewolucji stosunków człowieka do przyrody od czasów najdawniejszych oraz roli łowiectwa w ochronie przyrody.

Zgodnie z uchwałą walnego zgromadzenia wydano dotąd cztery, przez łowczego zredagowane, hektografowane ulotki, mianowicie:

1) kilka zasadniczych praw przyrodniczych, jakie znać winien myśliwy,
2) strzał do zwierzyny i sytuacja po strzale,
3) stosunek człowieka do świata zwierząt,
4) hodowla zwierzyny grubej i hodowla małego zwierza.

W dniu 20 marca 1949 r. wojewódzka komisja egzaminacyjna przeprowadziła egzamin. Na 38 egzaminowanych zdało egzamin 30 członków, a 6 z poprawką w terminie miesięcznym.

Za czyn niezgodny z etyką łowiecką zawieszono w prawach jednego członka, któremu sąd łowiecki udzielił ostrzeżenia. Ponadto doniesiono prokuratorowi o przekroczeniu przez jednego członka ustawowych czasów ochrony. Zwrócono się do miejscowego starostwa o uniemożliwienie handlu żelazami na lisy itp.

Do rozwoju powiatowego oddziału PZŁ przyczyniło się w wybitnym stopniu poparcie i czynne współdziałanie starosty Bunikiewicza. Wydajną współpracą wyróżnili się koledzy: podłowczy dr Grocholski, Kazimierz Buliński, Nieszyn i Kunz; wszystkim wymienionym powiatowa rada łowiecka składa serdeczne podziękowanie

Wiesław Szczerbiński
łowczy powiatowy

Z działalności Koła łowieckiego w Głubczycach

Powiatowe Koło Łowieckie w Głubczycach (województwo Śląsko-Dąbrowskie) powstało w 1945 roku. W chwili obecnej liczy ono 45 członków ze wszystkich sfer społecznych i posiada obszerne tereny łowieckie, przeważnie polne. Tereny te cechuje wielka obfitość zajęcy, o czym świadczy liczba ubitych zajęcy w ubiegłym sezonie 1948-49, sięgająca 5.029 sztuk. Na jednym zbiorowym polowaniu, w którym brało udział 40 strzelb,

padło 512 zajęcy, przy czym jeden myśliwy zdobył 34 sztuki, osiągając rekord dnia, a drugi ubił w sezonie 309 zajęcy. Pomimo to po sezonie widzi się na polach taką ilość kotów, jakby na nie w ogóle nie polowano.

Stan ten przypisać należy wściekliźnie wśród lisów, wybuchłej w r. 1947-48, w której wyniku pogłowie lisów wyginęło niemal zupełnie.

Koło przy wybitnej pomocy prezesa koła, Ignacego Zawadzkiego, odbudowało znacznym kosztem zupełnie zniszczony obiekt w parku miejskim i uczyniło zeń Dom Łowiecki, który stał się ogniskiem życia braci łowieckiej.

Sekretarz Koła
B. Strzelecki

OBWIESZCZENIE

Stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego z dnia 24 IV 1949 r. winny wojewódzkie rady łowieckie, powiatowe rady łowieckie oraz wszystkie terenowe stowarzyszenia (kółka) łowieckie **zaprenumerować czasopismo „Pies“.**

Prenumerata roczna wynosi 600 zł, którą należy wpłacać na konto Związku Kynologicznego w PKO Warszawa I-9190.

Redakcja czasopisma „Pies“, Warszawa, Nowy Świat 35.

Kalendarzyk myśliwski

W myśl ustawy łowieckiej z dn. 3 grudnia 1927 r. i rozporządzenia Ministra Leśnictwa z dn. 22 marca 1949 r. (Dz. U. R. P. nr 21) polowanie na następujące zwierzęta łowne jest dozwolone (pole białe), wzbronione (pole czarne):

RODZAJ ZWIERZYNY	lipiec	sierpień
Sarny rogacze w woj. Olsztyn, Poznań, Toruń	■	
Sarny rogacze w pozostałych województwach	■	■
Dziki		
Wydry	■	
Dzikie kaczki	■ 16	
Dzikie gęsi	■	■ 16
Inne ptaki błotne i wodne	■ 16	
Bataliony	■ 16	
Kwiczoły i paszkoty	■	■ 16
Gawrony, kruki, kawki i drapieżniki skrzydlate, z wyjątkiem krogulców i gołębiarzy	■	■ 16
Wilki, lisy, kuny kamionki, tchórze, gronostaje, łasice, jastrzębie gołębiarze, krogulce		
Wrony siwe, sroki		
Króliki		

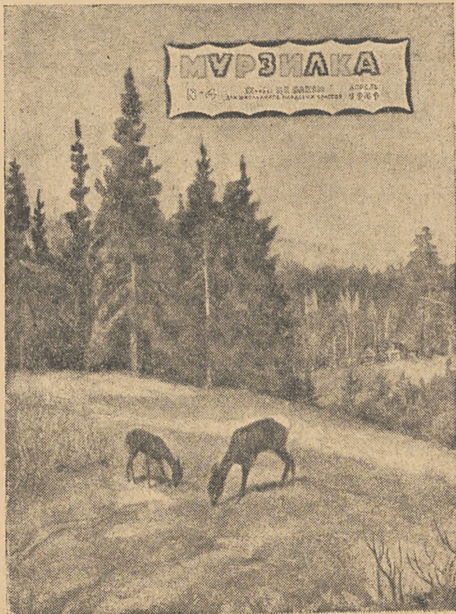


„Murziłka“ miesięcznik dla szkół, Moskwa, wyd. „Młodej Gwardii“, kwiecień 1949

Dostarczono redakcji naszej rosyjskie pismo dla młodzieży szkolnej pt. „Murziłka“. Uwagę zwraca przede wszystkim okładka, którą reprodukujemy — treścią swą tak nam bliska, a w wykonaniu barwnym tak wdzięczna. Ale i zawartość wewnętrzna zeszytu jest również pokrewna naszym założeniom. Oto opowiadanie „Przepiórki“, którego autor opisuje, jak zebrał do czapki 13 małych piskląt, znalezionych w gnieździe przepiórki, aby je zanieść swemu wnuczkowi — ale odłożył je z powrotem, wzruszony trzepotaniem się przerażonej matki i jej piskiem rozpaczliwym, znajdując dla swego czynu całkowite zrozumienie u wnuczka. Oto sikorka żegna się z ptakami, odlatującymi na zimę; ożywia ona swym śpiewem opustoszały las zimowy, a za zbliżaniem się wiosny pierwsza oznajmia ją skostniałym drzewom, a jako zwyciężczyni zimy wita przybywające z południa gęsi, żurawie i słonki. Oto młoda lipa wzywa chłopców do opieki i ochrony, przypominając, że pod drzewem wyrosłym znajdą schronienie w czasie burzy, a cień w dzień upalny, że smaczny jest miód lipcowy, że pożyteczne jej drewno. Na stronie ostatniej okładki młody czytelnik znajduje wyobrażenia popularnych gatunków drzew leśnych — z zachętą samodzielnego ich określenia.

Układ pisma i jego szata zewnętrzna stoją na tak wysokim poziomie, że służyć mogą za wzór do naśladowania. Zrozumiałym przeto staje się rozpowszechnienie „Murziątka“, wydawanego w nakładzie 105 tysięcy egz.

Józef Gieysztor



Dr Julius Komárek: MYSLIVOST V CESKYCH ZEMICH, nakładem wydawnictwa „Czyn“ w Pradze, str. 350, cena 250 koron.

W stosunkowo bogatej powojennej literaturze łowieckiej czechosłowackiej książka Komárka zajmuje osobne i czołowe bodaj miejsce, jako zwięzłe, a mimo to wyczerpujące kompendium, dotyczące całości spraw i rzeczy łowieckich CSR. Autor nie zajmuje się tutaj „łowiectwem w ogóle“, przedmiotem jego zainteresowań jest łowiectwo i myślistwo na ziemiach czeskich, śląsko-morawskich i słowackich, w uwzględnieniu tak charakterystycznych warunków lokalnych: korzystnego stosunku wzajemnego lasów i pól uprawnych (30 : 60%), urozmaiconej rzeźby terenu, wysokiej kultury rolnej z dużą ilością gatunków roślin, śródplonów i międzyplonów, wreszcie klimatu łagodniejszego w Czechach i w Kotlinie Morawskiej, ostrzejszego w Słowacji.

Łowiska czechosłowackie posiadały zawsze opinię zasobnych w zwierzynę, zwłaszcza w zwierzynę drobną; jako przykład może posłużyć reprodukowana w omawianej książce mapka, przedstawiająca tereny o rocznym odstrzale kuropatwy w roku 1935, gdzie widzimy spore obszary z czterystu, sześciuset, a nawet i więcej niż ośmiuset sztukami ubitymi na 1.000 ha. Inna mapka — kartogram rozmieszczenia zająca — posiada obszerne tereny o rocznym odstrzale dwustu i trzystu zajęcy na 1.000 ha.

Zwierzyna płowa, po pewnych stratach z czasów okupacji i wojny, wzrasta w liczbe Ilość dzików jest na ogół niewielka. Z gatunków obcych hoduje się muflona, jelenia japońskiego, wirgińskiego, bażanta kaukaskiego, mandżurskiego.

Po żubrze pozostały już tylko w Czechosłowacji wspomnienia w postaci nazw kilku miejscowości, ostatnia wzmianka o bobrach pochodzi z roku 1522, chociaż później próbowano jeszcze zaaklimatyzować bobry sprowadzone z Polski. Wilki są wytępione doszczętnie, podobnie i rysie (ostatni padł w roku 1912 w Beskidach). Coraz większą rzadkością staje się jarząbek w lasach, a przepiórka na polach czechosłowackich, czego przyczynę upatruje autor, jeżeli idzie o jarząbka, w monotonnym składzie sosnowych i świerkowych lasów o skąpym podszyciu, ubogich w owoce i jagody; przyczyny zanikania przepiórki są znane: masowe połowy w sieci podczas przelotów w Afryce północnej i we Włoszech, z czym walczy Międzynarodowa Rada Łowiecka.

Z ciekawszych tematów omawianych w tej książce wymienić należy: polowanie na ptactwo wodne, hodowla i higiena hodowli, czeskie bażantarnie, szkodniki, technika i organizacja polowań, gospodarcze znaczenie łowiectwa.

Cały przeciętny bilans roczny czechosłowackiego łowiectwa, obliczając wartość uzyskanej dziczyzny i skór na 100 milionów koron oraz ogólne wydatki związane z dzierżawą terenów (średnio 5 koron za ha), z odszkodowaniem, płaconym rolnikom (około 2 koron z ha), konserwacją broni i zakupem amunicji, wyraża się kwotą 11 milionów koron zysku netto.

Systematycznie i starannie opracowana książka dra Komárka może służyć jako wzór dobrego, praktycznego podręcznika.

Piękne fotografie i liczne mapy rozmieszczenia zwierzyny łownej podnoszą wartość dzieła.

Dr Marian Ludziński.

Redaktor — prof. J. G i e y s z t o r   Warszawa, ul. Nowy Świat 35, konto PKO I-1077.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki

Zam. 1017   Z. G. P. W. Nr 1   B-81503